



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy

Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nwy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgeberta i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

### ANTYGONA SOFOKLESA

(Studium)

przez El-y.

Bogaty skarbiec greckiej muzy tragicznej zaprzepaszczonej został z niepowetowaną szkodą dla ludzkości. Na szczęście po trzech największych tragediach dochowała się choć mała cząstka ich olbrzymiej spuścizny, pozwalająca nam przeniknąć ducha greckiej tragedyi i przyjrzeć się jej bohaterskim postaciom, wyniesionym po nad poziom powszedniego życia w sferę tytanicznych porywów i cierpień.

Ocalone arcydzieła Eschylosa, Sofoklesa i Euripidesa stały się nietylko niewyczerpanym skarbem dla wszelkiego rodzaju uczonych i badaczy, nietylko przeszły w krew i życie nowożytniej poezyi i sztuki, ale dla całego świata, co myśli i czuje, są one wiecznym źródłem, u którego poić się może cza-rem nieśmiertelnych, zawsze świeżych piękności.

Komuż nieznane będą, choćby pośrednio, takie postacie, jak Prometeusz, Orest, Edyp, Elektra, Ifigenia, Fedra, Medea, co jak żyjące osoby występują w naszej wyobraźni w całej groźbie swych tragicznych losów? Komuż obcą będzie owa najidealniejsza ze wszystkich dziewic Antygona, co prowadzi za sobą przez wieki żalony chór pokrewnych sobie postaci, skarżąc się niebu, że w obronie wyższych boskich praw musiała paść ofiarą ustalonego społeczeństwa porządku? Któż nie współczuł z jej smutnym losem, któż nie podziwiał jej czystej, wzniosłej piękności? Po wszystkie czasy i u wszystkich narodów zyskała ona sobie obywatelstwo w sercach ludzi, jako przedstawicielka wyższej moralnej idei wybiegającej po za granicę dotychczasowych praw i pojęć i łamiącej się w tej walce z rzeczywistością. — W rzędzie tragicznych bohaterów świat nie posiada drugiej równie szczytnej kreacji i Antygona pozostanie na długo je-

dyną niedostępną pięknnością, opromienioną olympijską jasnością bogów, a przecież zarazem tyle ludzka, i tyle pełną niewieściego wdzięku. Tak ją sądzą dziś po wielu upłynionych wiekach i tak ją sądzą współcześni ziomkowie Sofoklesa. Tragedya bowiem, w której ona główną jest postacią, i której nadała swoje imię, przedstawiona w Atenach w r. 440 przed narodzeniem Chrystusa, zjednała Sofoklesowi wyższy dowód uznania, wybór na godność Stratega.

Pojawienie się Antygony przypada w chwili, gdy już tragedia grecka przebiegła długą drogę stopniowego wydoskonalenia i osiągnęła najwyższe wykonczenie form i budowy względnie do ideału klasycznych pojęć o sztuce; zanim więc przystąpimy do rozbioru tego arcydzieła, musimy przyjrzeć się poprzednio, jak powstała i jak się rozwijała w ogóle tragedia w Grecyi.

Tragedya grecka narodziła się pierwotnie z lirycznej pieśni, z dytyrambu i ten liryczny charakter pozostał jej właściwością i nadal w całym jej rozwoju.

Pierwszym jej zawiązkiem był chór śpiewający przy uroczystościach bachicznych pochwalne pieśni na cześć swojego Boga. Pieśni te były z początku nawet pozbawione zupełnie tragicznej cechy tak jak ją dziś pojmujemy. Jednakże przybrały miano tragicznych, z powodu, że wygłaszający je choreuci przebrani za Satyrów, przedstawiali podobieństwo do kozłów — lub też dla tego może, iż w czasie tych śpiewów poświęcano kozła na ofiarę bóstwu.

Pierwotnie chóry tragiczne ograniczały się jedynie na wysławianiu wielkości i potęgi Bachusa, na opisywaniu jego przygód i czynów, a ożywione były tańcami i mimiką. Chór uważał sam siebie za orszak towarzyszący Bachusowi i brał żywy udział w jego wyprawach, trudach i uciesach. W następstwie czasu dla większego urozmaicenia wspomnianych uroczystości, brano za przedmiot przedstawienia przygody jakiego innego bohatera — i tym sposobem chór tragiczny wyszedł z wyłącznego zakresu mytów Bachusa. Później jeszcze dla wywołania silniejszego wrażenia, w czasie śpiewu odłączał się jeden z choreutów, stawał przy ofiarnym stole i zawiązywał

rodzaj rozmowy z resztą chóru, pomagając mu swymi pytaniami do oddania w śpiewie obszerniejszej skali sądów i uczuć. To początkowe przeobrażenie podało myśl pierwszemu Thespiowi, ażeby odłączyć stale jedną osobę od chóru i dać jej cokolwiek inne przeznaczenie.

Pozostawiając chórowi jego dotychczasową właściwość lirycznego śpiewu ze wszystkimi towarzyszącymi warunkami muzyki, tańca i ruchów mimicznych, powierzył on oddzielnemu choreucie wygłaszanie ustępów nieróżniących się od zwykłej mowy niezem więcej jak metryczną budową wierszy i podniosłością stylu.

Tym sposobem powstał pierwszy aktor i pierwszy dramat w ścisłym znaczeniu tego słowa, a jakkolwiek wiązanie tragicznej osnowy musiało być jeszcze nader prostem, sztuka dramatyczna zyskała już sobie niezbędne narzędzia do dalszego udoskonalenia. Dwa przeciwstawione sobie czynniki, to jest: osoba mówiąca a razem działająca — i chór będący świadkiem jej działań, powiernikiem jej uczuć i myśli, wyrażający śpiewem swoje wrażenia i sądy, były dostatecznymi, aby przedstawić wszechstronnie stan duchowy jednego z bohaterów w obec grożącej mu katastrofy, o co też głównie greckiej tragedyi chodziło. W całym bowiem rozwoju klasycznej tragedyi spostrzegamy, że wyłączenie usiłowanie skierowane jest nie ku pomnożeniu działań i wypadków, ale ku uwydatnieniu we wszystkich szczegółach wewnętrznego moralnego stanu bohatera, objawiającego się pod naciskiem jednego potężnego motywu w namiętności i cierpieniu. Namiętność i cierpienie, te dwa nierozdzielne uczucia, które grecki język filozoficznie obejmował jednym słowem pathos, stanowiły treść klasycznej tragedyi; wypadki, i działające osoby — były o tyle tylko potrzebne, o ile służyły do wydobycia ich na jaw z bohatera.

Dla tego też jeden aktor Thespisa wystarczał już do osiągnięcia głównego celu, a to tem bardziej, że przy pomocy używanych masek płóciennych mógł występować w różnych rolach w jednej i tej samej tragedyi. Cała niedogodność polegała jedynie na



tem, że równocześnie obok chóru mogła tylko pojawić się jedna osoba.

Do tego warunku musiała się nagiąć cała budowa ówczesnej tragedji i oprzeć się z konieczności głównie na chórze, który wypełniał całe jej ramy od początku do końca. To nadawało przedstawieniu przeważającą liryczny charakter i właściwego dramatycznego dyalogu jeszcze nie osiągnięto. W tym stopniu rozwoju uprawiali sztukę dramatyczną Thespis i Phrynichos, z których ostatni podzielił tylko chór na grupy odpowiadające występującym w tragedji osobom. Dawny niezmienny chór Satyrów stał się niewłaściwym przy wielkiem urozmaiceniu tragicznych przedmiotów i dla tego zastąpiono go chórami zmieniających się postaci, a zgodnych z treścią dzieła, które przedstawiano. Ale te wszystkie drobne ulepszenia niczem były w porównaniu z ważnym krokiem, który zrobił Eschylos wprowadzając na scenę drugiego aktora. Wtedy tragedia grecka mogła się ukazać w całej swojej świetności przy błysku tego potężnego geniuszu, co uzupełniwszy techniczne warunki sceny, potrafił wlać w nią nowe życie, tworząc olbrzymie postacie wyposażone tytaniczną potęgą.

Chór nie stracił nie u niego na swoich lirycznych pięknościach, a dramatyczna osnowa wzmocniła się nieskończeniem.

Gdy w poprzednim okresie cały szematyzm tragedji polegał na tem, że po każdej scenie, w której brała udział mówiąca osoba wspólnie z chórem, następowała druga scena ograniczająca się na samym chórze i w ten sposób ciągle naprzemian do samego końca tragedji, to teraz możliwem już było rozwinięcie rzeczywistego dyalogu i główny działacz mógł przeważnie wypełnić swoją postacią całość przedstawienia.

Jeszcze o krok dalej posunął się Sofokles podnosząc do trzech ilość aktorów, którą to ilość przyswoił sobie również Eschylos w swojej wielkiej trylogii Orestyadzie i która pozostała odtąd normalną dla greckiej tragedji.

Jednakże pomimo tego stopniowego wzmocnienia części dyalogowej, część liryczna nie straciła na swojej wadze i znaczeniu i chór, tak jak dawniej, unosił na swoich barkach całą posagową piękność scenicznego dzieła.

Powiązanie poważnych scen dramatycznych pieśniami pełnem poetycznego polotu pozostało stanowczą cechą greckiej muzy tragicznej i największą tragedji w pieśniach chóru starali się zająć prawdziwym blaskiem fantazyj i natchnienia.

W tych pieśniach skupiła się cała poetyczna harmonia, na którą Grecy byli tak wrażliwi. Łatwo wyobrazić sobie możemy wrażenie, jakie wywierał w chwili naprężenia dramatycznego wzniosły śpiew chóru płynący falą bogatej harmonii, podnoszący i uspakajający zarazem ducha słuchaczów.

To niezmiernie znaczenie chórów było powodem, że sami autorowie tragiczni zajmowali się jego wyuczeniem i sami układali dlań muzykę jako też i tańce mimiczne.

Starano się także urozmaicić liryczne śpiewy chóru, dzieląc go na grupy, z których każda w pewnych razach miała oddzielną część do oddania — lub też pozwalając niekiedy podnosić się z jego łona pojedynczym głosom, uwydatniającym pojedyncze odczucia. Chór wszakże w udoskonalonej tragedji nie ograniczał się tylko do czysto lirycznej roli, ale owsem zawiązywał w pewnych chwilach z działającymi osobami zwykłą rozmowę, jako świadek ich czynów i cierpień i powiernik zamiarów i uczuć. Nawzajem osoby działające przechodziły w chwilach wielkiego wybuchu boleści do lirycznego śpiewu, na który chór również śpiewem odpowiadał.

Na chórach wreszcie zasadzał się podział starożytnej tragedji, której nieznanne były nasze przerwy międzyaktowe. Każda z nich rozpoczynała się od prologu odpowiadającego naszej ekspozycji, w którym występują same osoby działające bez chóru. Koniec prologu następuje dopiero wraz z ukazaniem się chóru, który powoli idzie przez scenę śpiewając i zajmuje w orkiestrze swoje miejsce, i na niem już stale do końca sztuki pozostaje. Tę pierwszą wstępną pieśń wchodzącego chóru nazywali Grecy „Parados”. W dalszym ciągu rozwija się akcja dramatyczna i gdy już dojdzie do pewnego stopnia rozwoju, zawieszają ją na chwilę następną pieśń chóru śpiewana z miejsca i dla tego też nazwana Stasimon. Część zaś

dramatyczna, którą obejmuje Parados i Stasimon, zwie się Epizodem. Następnie po odśpiewaniu pierwszego Stasimonu, przypada drugi Epizod zamykający się również drugim Stasimonem i tak dalej — stosownie do obszerności i więcej lub mniej skomplikowanej akcy scenicznej. Po odśpiewaniu ostatniego Stasimonu pozostała końcowa część nosiła miano Exodos, co odpowiada naszemu rozwiązaniu.

W tak udoskonalonej już zewnętrznej formie ukazała się olśniewająca pięknościami swemi Antygona. Treść jej wzięta została przez Sofoklesa z obszernego cyklu podań tebańskich o strasznych losach domu Labdakidów, w których Edypowi i jego potomstwu najzłakomitsza przypada rola. Podania te dostarczyły już treści wielu epikom, lirykom i tragicom, a sam Sofokles oprócz Antygony osnuł na ich tle swojego Edypa króla i Edypa w Kolonie. Dziwnym zbiegiem okoliczności Antygona, która najpierw została napisana, w przebiegu mytów tebańskich ostatnie zajmuje miejsce i kończy smutne dzieje edypowego rodu, do których powrócił Sofokles w dwóch swoich późniejszych tragedjach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KOBIETA

### I WYMIAR KARY W SPOŁECZEŃSTWIE.

(Dalszy ciąg).

Hasło do reform wskazanych przez ideę chrześcijańską, a przygotowanych dopiero przez filozoficzną doktrynę XVIII wieku, daje prawdziwie wielki mąż, margrabia włoski, Cezary Beccaria w 1764 r., silnem wystąpieniem przeciwko wszelkim karom cielesnym. Głos szlachetnego myśliciela odezwał się donośnem echem w sumieniu mas i wywołał do dziś dnia trwający i nie bez pewnej gorączkowości szerczący się prąd podniosłych uczuć, sprawiedliwości i szczerzej miłości bliźniego; zdaje się, że społeczeństwo zawstydzone niejako okrucieństwem, zrozumiało nareszcie całą potworność dotychczasowych pojęć karnych. Kościół i państwo, uczeni i prostaczki, filantropi i filozofowie, prawnicy i ekonomiści, wszyscy w Ameryce i w Europie siłą się i ubiegają o lepsze w reformowaniu praw karnych i zakładów więziennych.

Zasada zemsty publicznej upada niepowrotnie; kara śmierci potępiona w teorii, wymazana została z kodeksów wielu państw, a w zadaniu więziennem miejsce srogości zajmuje myśl o poprawie winowajcy. Gdy zestawimy przeszłość tak długą, a tak upornie okrutną, z teraźniejszością tak odmienną, a nie mniej siebie pewną, mimowoli ogarnie umysł nasz jakiś bezdenny niepokój, narzuci się mu szereg prawdziwie zatrważających wątpliwości.

W obec takiego całkowitego burzenia niedawnych jeszcze pojęć karnych, cóż nam daje pewność, zapytać się można, większej trwałości dzisiejszych prac? Co wieki uświęciły i za nieomyślne, niezbędne, za słuszne i moralne poczytały — my na to dzisiaj ciężki kamień potępiania rzucamy; — a któż nam zareczy, że z kolei na nas nie padną takie same gromy potomności? Gdzie jest ta niechybna reguła, ta niezachwiana uczoność, ta prawda bezwzględna, w imię której takiego dokonywamy przewrotu? — gdzie jest to wrzekomo nieomyślne sumienie mas, które z taką zapamiętałością przyklaskiwały nie tak dawno jeszcze temu, co dziś jest dla nas zbrodniczym wyskokiem wyuzdanej swawoli? Czy społeczeństwo może żądać rachunku z czynu, który jest zawsze rezultatem pewnych pojęć, który został wywołany pewną potrzebą? Winowajca stojący przed wami dopuścić się czynu, który wczoraj jeszcze był dozwoleńnym, który jutro zakazany być przestanie; — któż będzie miał prawo pociągać do odpowiedzialności jednostkę dlatego tylko, że w ogólnem biegu rzeczy opóźniła się ona lub pospieszyła o dzień jeden?... Uśmiech litości wzbudzą w nas uczone traktaty dawnych mędrców o wrodzonej podłości niewolnika, o niebezpiecznym sojuszu z czartem, o cudownej mocy czarów — a cóż nas upewnia, że nie nadejdzie chwila, w której dojralsza ludzkość z równem

politowaniem wyszodzi nasze anielskie marzenia o równości, enocie i sprawiedliwości?..

Okrzyk, jak widzicie szanowni słuchacze, pełen goryczy, ale zarzut doniosłości wielkiej! A do tego dodać trzeba, że postęp nauk ścisłych w ostatnich czasach, ujawnił pewną dążność do zaprzeczenia istnienia duchowego pierwiastku w człowieku, że fizjologia usiłuje pochłonąć psychologię i poddać wszystkie objawy wolnej woli człowieka pod wszechwładne panowanie praw materji; — że nadto statystyka karna i obyczajowa, wykazując dziwną prawidłowość we względzie przestępczości, nasunęły myśl o pewnych, niewyjaśnionych, lecz stałych czynnikach, ciężających nad wolą jednostki, a tkwiących częścią w jej organizmie, częścią zaś w ogólnoludzkich stosunkach. A więc chwiejność w pojęciach karnych, owładający wpływ coraz dokładniej poznanych praw materji i wnioski statystyki zachwiały pojęciem o istnieniu bezwzględnych praw dobrego i złego i o istnieniu wewnętrznej wolności człowieka, co podkopać musiało jego znowu osobistą odpowiedzialność i pojęcie o bezwzględnej niemoralności czynu, jako podstawy karalności społecznej. Taka doktryna prowadzi niechybnie do jednego z dwóch następujących rezultatów: 1-szy. Jeżeli na miejsce warunkującego się w samym sobie pojęcia słusznosci, postawi pojęcie wyłącznej użyteczności, warunkującej się dowolnem tłumaczeniem — to wyda niezem ograniczoną tyranję większości względem mniejszości. 2-gi. Jeżeli zaś na miejsce pogrzebanego pojęcia słusznosci nie postawi nic, wywoła walkę ścierających się interesów, niezem nie hamowaną anarchię. I jedno i drugie znalazło swoich teoretycznych obrońców.

Dobrem w znaczeniu najogólniejszem jest to wszystko, co prowadzi do wypełnienia w sposób dodatni wszechstronnych warunków bytu danego jestestwa, — to co rozwój jego wspiera, siły wzmacnia i potęguje; przeciwnie zaś złem będą wszystkie ujemne czynniki podkopujące byt, hamujące rozwój, prowadzące do upadku. W świecie materji prawidłowość bytowania istot stworzonych wypływa z naturalnej działalności praw organicznych, fizycznych i chemicznych; tu pierwiastki w skład ciał wędrujące pozostają niezmiennie pod wpływem tych praw i odpowiednio wytwarzają związki, na podstawie ślepej konieczności, od której się uchylać same nie są w stanie. Człowiek jako istota rozumna i do pewnego stopnia świadoma swych dróg i celów, czuje, że ma pozostawioną sobie wybór pomiędzy jednym a drugim czynem, pomiędzy dodatkami a ujemnymi otaczającymi go żywiołami. Wybór ten jednakże, jakkolwiek wolny w materialnem znaczeniu, narzuca się mu z siłą pewnej konieczności. Nie będzie to konieczność fizyczna, nieunikniona, jakiej ulega materja; ale konieczność moralna, ciężąca nad postanowieniami woli z niemniej silną sankcją tych wszystkich nieuchronnych ujemnych wpływów, jakie na człowieka wywrzeć musi każde, choćby najmniejsze odstępstwo od praw bytu. I w tem to spoczywa podstawa moralnej obowiązkowości w pełnieniu dobrego, a unikaniu złego i podstawa osobistej odpowiedzialności człowieka. Stopień tej odpowiedzialności zawisł wszelako od stopnia pozyskanej świadomości i wyrobionego poczucia o warunkach bytu i rozwoju, czyli mówiąc jasnie, o ciężających na nim powinnościach fizycznego i duchowego osobistego i towarzyskiego życia.

Ponieważ człowiek jest istotą ułomną, umysł jego ograniczony nie dochodzi łatwo do samowiedzy praw bytu, błąka się zbyt często w chaosie cząstkowych celów, do zaspokojenia których pochylają go pojedyncze władze duszy i ciała, a wola nasza tym niedostatecznem światłem oświecona, nie zawsze umie pomiędzy temi cząstkowymi celami utrzymać harmonię potrzebną do prawidłowego, wszechstronnego rozwoju. Opatrzność przeto obdarzyła nas innym jeszcze kierowniczym zmysłem, a tym jest sumienie. Sumienie nie jest władzą odrębną, jakimś właściwym organem naszej istoty, sumienie jest objawem pewnej, że tak powiem, ogólnej żywotności naszego ducha, objawem, który odpowiednio do właściwych skłonności danej jednostki, w rozmaity sposób uwydatniać się może.

Jeżeli człowiek na drodze prawidłowego rozwoju postępuje krokiem pewnym i bez zboczeń, jeżeli zgodnie z warunkami bytu ziemskiego spełnia swoje przeznaczenie, wtedy duchowe jego jestestwo w peł-



ni sił żywotnych poczuje w sobie spokój i zadowolenie, które w pospolitej mowie spokojem i zadowoleniem sumienia zwiemy. W tym stanie duszy spoczywają jedyne zadatki prawdziwie trwałej pomysłowości jednostki; w nim tylko znaleźć możemy potrzebne siły do zwalczania napotykaných zewnętrznych przeszkód i dolegliwości; w nim największe straty, nędzę materialną i cierpienia ciała znosimy z mocą — bo gdy sumienie czyste, a duszy jad zgryzoty nie toczy, to możemy zawsze pogodną myślą w przyszłość sięgać, po zyczliwszy uśmiech losu i jaśniejszy promyk szczęścia. (\*)

Ale gdy człowiek pod naciskiem ślepych żądz i gnębiących namiętności odbiegnie od warunków prawidłowego rozwoju i z prawej drogi zbczy, wtedy duszę jego przejmuje uczucie niepokoju, smutku i nieokreślonego żalu; jestestwo całe cierpi, tak jak cierpi fizycznie człowiek, nie mogący się utrzymać na śliskiej pochyłości, u kresu której rozciąga się niezmiernie otchłań. Ten brak pewności o dziś, ten gorączkowy niepokój o jutro, ta nieokreślona tęsknota duszy zepchniętej z właściwych jej torów, — to objaw zagrożonego w żywotności swojej moralnego naszego jestestwa, objaw, który zazwyczaj wyrzutem sumienia się zowie.

Sumienie, jak widzimy, przychodzi tu z dzielną pomocą władzom umysłowym, w celu rozjaśnienia życiowych trudności i wzmocnienia w obec nich naszego stanowiska. Za pomocą sumienia, w istocie człowiek chwytą i przyswajają sobie ze skwapliwością moralnego organizmu chcącego żyć — wszystkie da-

(\*) Szanując przekonania Autora, Redakcyja pozostawiła niezmiennym pogląd jego na sumienie i stosunek sumienia do duchowego bytu człowieka; dodaje wszakże od siebie kilka słów wyjaśnienia.

Sumienie jako objaw ogólnej żywotności określić się nie da. Podobna teoria doprowadziłaby nas do przekonania, że wszelka niemoc duchowa z nadwątłego sumienia pochodzi, a każdy kto ma czyste sumienie, bez niepokoju już patrzeć może przed siebie — może i powinien. To nawet mówi wyraźnie prelegent. Parę słów tylko o tej wacnie-spornej kwestyi. Sumienie przyrównywano już dawniej do zdrowia duszy, ale z określenia tego nie wypływają wnioski odpowiadające teozom stawianym przez Prelegenta. Zdrowie duszy przedstawia się jako pewien stan harmonii i zadowolenia, które odczuć zdoła tylko dusza nie zepsuta. Na wyrzuty sumienia nie wpływają same tylko pojęcia umysłu, ale i przypomnienia tych kolei, przez które przeszła wola, nim się czynu danego dopuściła. Spokoju i żywotności nie nazwiemy pojęciami konstytucyjnymi sumienia; istoty jego dalej szukać wypadnie. Są zbrodniarze spokojni; ich spokój zatem nie jest ową harmonią dusz zdrowych. Są duchy wielką obdarzone żywotnością ogólną, a nieprawe; ich żywotność zatem nie jest ową żywotnością przebijającą się w sumieniu. Bez wątpienia sumienie normowanem bywa przez pojęcia umysłu, ale się nie na umysłowości opiera. Nie nazwiemy go też prostym stanem, odmianą, czy objawem, ale władzą w znaczeniu innych władz duszy. Ta władza działa w takim zakresie, jaki wynika ze stosunku zachodzącego między światłem umysłu a prawością woli, między wiedzą a wolą. Otóż sam prelegent przyznaje w dalszym wykładzie, że istnieje pojęcie o złem, które zawsze, dla wszystkich czasów i pokoleń, złem było. W tej dziedzinie zatem sumienie przejawiać się musi jako władza bezwzględna. Ta dziedzina rozszerza się lub ścieśnia, jak granice jednego i tego samego państwa w kolei wieków, ale w sobie uważana jest niezmienną. Sumienie można przytłumić przez egoizm, tak jak przez zbytni rozwój umysłu można zagłuszyć uczucie, przez zbytnie zaś dążenie do abstrakcyi, utracić zdolność wnikania umysłem w byt rzeczywisty. Sumienie samo jest harmonią i w harmonii tylko ogólnej ducha istnieje. Nieporozumienia co do tej władzy duszy wynikają z tego, że pojęcie jej odnosimy do *indywidualizmu*, do człowieka walczącego o byt, zamiast do idei panującej nad bytem. Mówiąc o sumieniu, tę właśnie ideę dobra i prawdy przed oczyma mieć trzeba. Niedośkonale jej wcieleniem jest zarówno światło umysłu dające wiedzę, jak i uczucie moralne objawiające się w sumieniu. Sumienie tylko przy niedośkonaleści ludzkiej da się pojąć w swej istocie i przez tę samą niedośkonaleść nie daje się pojąć w bezwzględności. Stąd wynika to, że sumienie zagłuszyć można; stąd wynika i to, że je często za pewien tylko *sposób odczuwania*, sposobowi myślenia odpowiadający, uważamy.

(Redakcyja Bluszczu).

ne, jakich mu dostarcza własny rozmysł, nauka, postęp oświaty i światło religii; za pomocą sumienia każde pojęcie moralne, choćby tylko względnej wartości, zamienia się w bezwzględny nakaz szanowania go i stosowania się do niego dopóty, dopóki inne wyższe pojęcie pierwszego nie zmieni lub go nie przekształci. To chętnie przyswajanie sobie szerszych pojęć i wyższych powinności, płynie z natury rzeczy, a mianowicie z tej wrodzonej skłonności, jaką ma każde jestestwo do unikania tego wszystkiego co na jego byt ujemnie, a do pożądania tego, co na niego dodatnio wpływać może.

Jednakże do znajomości warunków bytu swojego i celów człowiek nie dochodzi odrazu; można nawet powiedzieć, że dochodzi do niej z wielkim trudem, i że ją tylko stopniowo może zdobywać. I to właśnie, nie co innego, jest zadaniem cywilizacyjnej pracy wieków. Od zakresu pojęć zawisł zakres powinności; im dokładniejszą będzie znajomość praw bytu, tem szerszy być musi zakres narzucających się obowiązków. Pojęcia zmieniają się, kształcą i doskonalą, a więc w tym samym stosunku zmieniać się kształcić i doskonalić będzie rozumienie i poczucie powinności.

Ta zmienność pojęć, stwierdzona historycznie i geograficznie, nie mniej jest widoczną w każdym społeczeństwie, w różnych jego stanach, odpowiednio do różnego stopnia wykształcenia i odmiennych nawyków, skąd naturalne następstwo, że różną będzie do pewnego stopnia powinność (dalej powiemy w jakich naturalnych zamyka się to granicach) i wypływająca z niej odpowiedzialność. Wszystkie nowsze prawa karne to uwzględniają i pozwalają opierać poczytalność na faktycznych danych umysłowego stanu oskarżonego, w czem wyrokujący sędzia posługuje się przyznaniem okoliczności zwiększających lub łagodzących winę. Z tej zasady także wypływa szerząca się coraz bardziej instytucya sądów przysięgłych, za pomocą której, ażeby ocenić stopień winy w sposób najdokładniejszy, jaki tylko dla ludzkiej ułomności jest dostępny, społeczeństwo opiera się nie na materialnym czynie i odwołuje się nie do bezdusznej litery prawa, lecz do zbiorowego pojęcia i sumienia obywateli, którzy dla ocenienia występności czynu, oprócz czynu samego, badają stan pojęć i stan sumienia oskarżonego.

Raczej teraz dobrze zważyć, szanowni słuchacze, że zmienność a dowolność, są to dwie rzeczy różne, a z łatwością spostrzeżecie błąd tych, którzy ze zmienności w pojęciach wyprowadzają bezkarność. Zmienność w pojęciach prowadzi tylko do zmienności w określeniu zakresu obowiązków i stopnia odpowiedzialności; lecz nie prowadzi do samowoli i bezkarności, a to dlatego mianowicie, że zmienność ta, jakkolwiek wielka, nie jest wynikiem bezmyślnego kaprysu natury i z dowolnością niema nic wspólnego; rozwija się ona logicznie i historycznie, wedle pewnych praw, których nie znamy jeszcze może dokładnie, lecz z których tyle już poznać mogliśmy, ażeby wykryć w pochodzie cywilizacyi niezmienną prawidłowość i głęboką równowagę, zachodzącą między skutkiem a przyczyną. Historyzofia poucza nadto, że co w zakresie moralnych pojęć jest zmiennem, to odnosi się raczej do formy, aniżeli do treści rzeczy, że to jest tylko odmiennym przejawem wywołanym okolicznościami, tych kardynalnych praw i tych pojęć niezmiennych, które jako podstawy bytu człowieka, płyną z jego natury i porządkują życie jednostki i stosunki ludzkie po wszystkie czasy i we wszystkich stopniach cywilizacyi.

Nie było stanu tak dzikiego, nie było w historii epoki tak barbarzyńskiej, nie ma w dzisiejszych społeczeństwach, pomimo ogromnej różnorodności pojęć i nawyków — ciemnoty tak głębokiej, ażeby jednostka mogła być pozbawiona pewnej świadomości o tych kardynalnych moralnych prawach, z których się wszystkie inne wyprowadzają, jakoto: że człowiek fizycznie i moralnie powinien się przyczyniać do swego wzrostu i rozwoju; że powinien pracować i zasoby na przyszłość gromadzić; że między sobą ludzie się wspierać i sobie pomagać są obowiązani, a nigdy siebie wzajemnie krzywdzić nie powinni; że wyrządzoną krzywdę wynagrodzić, a za doznane dobrodziejstwo wdzięcznym być trzeba; że doczesność nie zamyka kresu życia człowieka, bo on ma w sobie pierwiastek nieśmiertelny, a nad nim panuje Istność najwyższa.

W takim ogólnem określeniu samo się przez się

rozumie, że nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do wyrazów, lecz sięgać trzeba do istoty rzeczy; nie można zawsze z zupełną ufnością polegać na słowach wyrafinowanej dyalektyki, którym najprostsze czyny zaprzeczają; trzeba umieć odróżnić błędy ograniczonego umysłu i niedostatecznej logiki, które wydały na podstawie właściwych ekonomicznych warunków niewolnictwo, za które jednostka odpowiedzialną być nie mogła — od błędów samolubnej cheiwości i nieludzkości srogiej, które wydały tyranizowanie niewolnika, za co przed sądem sumienia jednostka zawsze odpowiedzialną była. Bez zaprzeczenia, ciemnota niejednokrotnie tłumi głos natury, a dzikie instynkta ludzi zepsutych fałsz mu zadać usiłują; niewątpliwie w pewnych powtarzających się okolicznościach, częściej pewne powtarzają się błędy i częściej pewne występują winy, bo natura ludzka jest zawsze jedną i tą samą; — niemniej jednak jest rzeczą oczywistą, że każdy człowiek, bez wyjątku, nosi w swem sercu wyryte prawo, które ogólną jego odpowiedzialność uzasadnia.

Chińczyk topiący nowo-narodzone dziecię płci żeńskiej, — dziki wojownik odbierający życie rozbrojonemu przeciwnikowi, wiedzą dobrze, że się dopuszczają zbrodni, chociaż skutkiem często powtarzających się podobnych wypadków i ciągłego trwania wywołujących je okoliczności, słabnie poczucie złego — tak samo zupełnie, jak pośród naszych społeczeństw nałóg pijanstwa osłabia wolę, nie odejmując świadomości złego i nie znosząc odpowiedzialności. Bo człowiek pomimo swojej wolności, nie ma władzy odrzucania następstw danego pojęcia, które względnie do nastroju jego umysłu, narzuca się mu jako prawda, a względnie do jego woli, jako powinność. Pojęcie choćby najwzględniejszej wartości, gdy raz przez umysł zostanie przyjętem, wytwarza za pomocą sumienia nakaz bezwzględny, od którego nikt uchylać się nie może. Najwytrawniejszy zbrodniarz nie zdoła nigdy wmówić w siebie, że zamordowanie człowieka jest rzeczą niewinną, a to na tej samej zasadzie, na której najwytrawniejszy sofista nie zdoła wmówić w siebie, że dwa a dwa czynią pięć, a nie cztery. Prawda i dobro, te dwie strony jednej rzeczy, mają bezwzględną wartość.

Ponieważ człowiek żyje podwójnem życiem, jako jednostka i jako członek społeczeństwa, odpowiedzialność jego będzie podwójna: osobista w obec sumienia i społeczna w obec państwa. Jak złem moralnem jest każde wykroczenie z praw bytu jednostki, tak złem społecznem, czyli przestępstwem będzie każde wykroczenie z zasadniczych praw bytu społeczeństwa. Skutkiem ścisłej solidarności zachodzącej między życiem ogółu a życiem jednostki, to co jest dobrem i złem dla pojedynczego człowieka, musi być także dobrem i złem dla społeczeństwa i na odwrót. Słusznie też wyrzekł znakomity prawnik angielski Bentham, że moralność i prawo mają wspólny punkt środkowy, a różnią się tylko swoim zakresem. Moralność osobista bez względu na źródło z którego pochodzi, rozeiaga się do wszystkich czynności człowieka; prawo stanowione zaś dosięga tylko tych naszych czynów, które w sposób widoczny i do uchwycenia łatwy, na byt drugich i na węzeł społeczny bezpośrednio oddziaływać mogą.

Jeżeli prawidłowy rozwój istoty ludzkiej, czyli jeżeli ścisłe stosowanie się do praw bytu jednostki i do praw bytu społeczeństwa, daje jej pewne osobiste i społeczne, moralne i materialne korzyści — to rzecz oczywista, że wyłamywanie się z tych praw, pociągnie za sobą brak tych korzyści; a że one są naturalną potrzebą człowieka, niezaspokojenie tej potrzeby wywoła zatem pewną dolegliwość, spowoduje cierpienie, które stanowi karę w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu.

Kara jest więc bezpośrednim i nieuniknionym wynikiem popełnionego zbrocenia; a cierpienie które wywołuje, stosunkuje się ściśle do rozmiaru tego zbrocenia; z tem jednakże nader ważnem zastrzeżeniem, że wywołanego cierpienia, odnośnie do przestępstw podpadających pod działanie prawa karnego, nie wyczerpuje i wyczerpywać nie powinna kara społeczna, jak mylnie twierdziła teoria odwetu.

Przestępstwo, jak każdy czyn człowieka, objawia się w naturalnych i moralnych skutkach; spełnia go wola kierowana błędną rachubą, lub zaślepiącą żądzą. Więc odpowiedzialność za czyn przestępny, powinna z natury rzeczy w ujemnych następstwach



winy, objawić się dwójako: zewnątrz, ale także i przedewszystkiem wewnątrz. W znaczeniu filozoficznym można postawić twierdzenie, że każda popełniona nieprawidłowość równoważyć się musi ujemnie, czyli, że kara i przestępstwo pozostają do siebie w stosunku pewnej tożsamości. Lecz aby się ta prawda etyczna stać mogła prawdą karną, trzeba by dla ocenienia przestępstwa i ocenienia kary, oprócz się nie tylko na materyalnych lecz i na moralnych ich skutkach; trzeba by z jednej strony dla ustanowienia wysokości winy, zmierzyć z najdokładniejszą ścisłością wszystkie drobne, zaledwie się uchwylić dające okoliczności stopnia pokusy, siły oporu, spaczonych pojęć i wzburzonych namiętności; a z drugiej strony dla ustanowienia wysokości kary, trzeba by powołać się znowu na najdrobniejsze szczegóły cierpienia, jakie sprawiają: wyrzut sumienia, obrażone uczucie wstydu, nadwreżony spokój i podkopany szacunek ludzki.

W znaczeniu tak szeroki, prawo odwetu przyjąć można. Lecz jest-że możliwym, jest-że potrzebnym dla społeczeństwa taki bezwzględny wymiar sprawiedliwości? Jakże tu wdrzeć się do tajników ludzkiej myśli, do zakątków ludzkiego serca? jaką miarą mierzyć i porównywać rozkosz, jakiej dostarcza spełniona zbrodnia z cierpieniem, jakie sprowadza wewnętrzna zgryzota? jakże ocenić bezwzględną winę i bezwzględną doniosłość kary?... Są to rzeczy niepodobne dla ludzkiej sprawiedliwości; a najmniejszy błąd sprowadza najopłakańsze następstwa. Kusiła się przeszłość o to, ażeby karę mierzyć miarą przewinienia — i do błędu, jaki tutaj z natury rzeczy wynikał, dołączyła jeszcze i ten, że z zadziwiającym zaślepieniem ograniczała się na określaniu materyalnej strony przestępstwa i kary. To doprowadzić musiało do rezultatów okropnych. Winowajcę — a nieraz była nim tylko ofiara przesądnej ciemnoty — odsądono od praw człowieczych; nie potrafił on wzbudzić ani cienia litości, ani odrobiny powątpiewania, czy oskarżenie było uzasadnionem, a wyrok słusznym; nie było dlań katuszy dość srogiej, wzgardy dość głębokiej; — kara śmierci nie wystarczała!

Więc oznaczmy granice działalności karnej. Niepomny doznanych względów, tłumię w sobie uczucie wdzięczności i samolubną powodowany myślą, odpycham będącego w potrzebie własnego dobroczyńcę. Czyn ten pozostanie w granicach moralności, ale nie będzie zupełnie bezkarnym. Kara się znajdzie i będzie surową, ściśle taką, na jaką niewdzięczność zasługuje. Pierwszym ujemnym objawem będzie tu, jak zwykle, wyrzut sumienia, przeciwstawiający doniosłość doznanego dobrodziejstwa i ohydę okazanej niewdzięczności; dalej nastąpi chłodne rozważanie poniesionych strat; bo chociaż na pozór samolubne widoki natychmiastowej korzyści są zaspokojone, po głębszej rozwadze przekonam się, że źle się obliczyłem i źle sobie samemu usłużyłem. Czynem takim osłabiłem w sobie i w swoim otoczeniu zaufanie w solidarność ludzką i wzajemną pomoc; tak jak sam postąpiłem, wydadę mi się rzeczą naturalną, że w danym razie postąpią zemną inni, tem pewniej, że nikogo nawet dobrodziejstwem przychylniej względem siebie nie usposobił; im czarniejszą była niewdzięczność, tem większej nabędzie mocy we mnie przekonanie o niewdzięczności innych — tem chwiejsze będą moje kroki własne, tem silniejszym potępienie powszechne, tem większą ujma w szacunku ludzkim, a chmurniejszą myśl codzienna...

Jeżeli znowu nie poprzestając na biernem zachowaniu się, ażeby stłumić niejako potępiający mnie głos powszechny i przed nim się uniewinnić, ośmielę się czernić przeszłość swojego dobroczyńcy, przypisując mu niegodne czyny, których się nie dopuścił — występki mój, oprócz tego, że w niemoralności swojej się potęguje, krzywdzi na honorze innego w sposób widoczny i w rozmiarze dość wielkim, ażeby uzasadnić wystąpienie karzącej potęgi państwa<sup>1)</sup>. Niezależnie więc od moralnej kary za wymieniony czyn, jeszcze i do odpowiedzialności społecznej połączonym zostanie.

Jeżeli dla usprawiedliwienia kary moralnej wystarcza wykroczenie z moralnego przepisu i potępiający głos sumienia, to dla usprawiedliwienia kary społecznej potrzeba oprócz koniecznej, że tak powiem

wewnętrznej niemoralności czynu, innych nie mniej ważnych warunków, a mianowicie: ażeby czyn był czynem *krzywdzącym* drugiego lub ogół i to w sposób do określenia i ocenienia możliwy; potrzeba nadto ażeby w istniejących warunkach oświaty i tuwarzyskich stosunków kara była *użyteczną* to jest, ażeby cierpienie wymierzone co najwyżej w tej wysokości, jaką jej stopień spełnionej niemoralności dopuszcza — bo tej granicy nigdy przekroczyć nie wolno — miało siłę wywierania na przestępcę zniechęcającego wpływu do dalszych podobnych wykroczeń. A więc dla usprawiedliwienia karzącej działalności społeczeństwa potrzeba trzech warunków: 1) aby czyn z istoty swojej był *niemoralnym*; 2) aby był *widoczny* dla drugich *szkodliwym*; 3) aby kara była *pożyteczną*.

Nasuwa się teraz z kolei pytanie, jakimi środkami ma włączyć kara wymierzona w tych warunkach? Ażeby na to odpowiedzieć dość przypomnieć, że jej zadaniem jest obrona stosunków społecznych od nadużyć, jakie im zagrażać mogą ze strony tego, kto dał poznać czynem występny zło swoje skłonności. W obec takiego celu przynajmniej każdy, że środkiem do niego prowadzącym, najpewniejszym, radykalnym jest *poprawa winowajcy* i że wszelkie inne materyalne, że tak się wyrażę, warunki kary, jak więzienie i dolegliwości doń przywiązane zajmują miejsce drugorzędne i o tyle tylko mogą być usprawiedliwione, o ile ułatwiają osiągnięcie poprawy. Takie założenie usuwa bezwarunkowo karę śmierci, wszelkie kary nieodwołalne, hańbiące, cielesne, na udęczenie winowajcy obmyślane, z wyjątkiem kar dyscyplinarnych; usuwa ono ubliżające godności nawet zbrodniarza, nieludzkie wystawianie go na pośmiewisko i wzgardę; potępia teorię odstraszenia, która usiłowała wywierać na massach wrażenie powstrzymujące od zbrodni, a dochodziła do wręcz przeciwnego rezultatu, bo uwidocznienia wywieranych katuszy i osławianiem z niemi ludu podsycala, jak o tem przekonywa przeszłość, dzikie instykta srogości i osłabiała poczucie moralne. W obec nowych zasad uczucie rozumnej sprawiedliwości zgadza się najzupełniej z uczuciem miłosierdzia: jedno i drugie nakazuje zmierzać w zadaniu karnem do poprawy winowajcy.

Nie wchodząc w te drobne zboczenia od uznanych zasad, które się jeszcze tułają w praktyce tu i owdzie lecz które same przez się upaść muszą, biorę zasadę karalności społecznej w określeniu jakie powyżej podałem i które przyjmuje teoria prawie ogólna — biorę tę zasadę i pytam się: czy ją rozwinęto w całej rozciągłości i czy już nam wolno na zdobytych laurach spoczywać spokojnie?

Celem kary jest obrona społecznego porządku, od nowych nadużyć winowajcy, uznanym środkiem tego działania jest jego poprawa; czyż zatem nie stawia się tutaj z siłą nieubłaganej logiki proste wnioski, że skoro tylko poprawa przestępcy będzie pozyskana, obawa nowych przekroczeń z jego strony usunieją a cel kary wyczerpanym — sama kara ustać powinna bez względu na termin, jaki jej z góry został oznaczonym?

Myśl taka może zanadto śmiała niejednym się wyda; a jednak, szanowni słuchacze, musicie mi przyznać, że jest racjonalną i wysoko moralną. Racjonalną jest dla tego że odpowiada ściśle celom kary społecznej a przekroczyć ich nie pozwala; że uwalnia przestępcę, choćby największego zbrodniarza, gdy się poprawił i społeczeństwu nie zagraża — bo taki tylko przed Bogiem, własnym sumieniem i głosem powszechnym z upadku swego zdawać rachunek jest obowiązany. Wysokomoralną jest dla tego, że uszczuplając stronę zewnętrzną kary, po części nieco naoślep działającą, na korzyść wewnętrzną, wprowadza głębszą równowagę między złem spełnionem a jego ujemnymi następstwami. Domagając się bowiem natychmiastowego uwolnienia przestępcy poprawionego, nie mówię w znaczeniu moralnym, że mu się należy bezkarność; pragnę tylko uwolnić go od niepotrzebnych już, a zatem w znaczeniu społecznym nie usprawiedliwionych cierpień; pragnę wypuścić go z więzienia i przywrócić mu wolność do której nabiera niezaprzeczonego prawa z chwilą gdy przestaje być wicherzycielem zagrażającym społeczeństwu. Jeżeli z jednej strony powiedzieć można, że im większą była zbrodnia i większe ma być dobrodziejstwo z uwolnienia płynące — tem większą ale i trudniejszą musi być poprawa; — to z drugiej znowu stro-

ny, i o tem zapominać nie trzeba, w tym samym nie ledwie ściśle matematycznym stosunku do wielkości przestępstwa, znaczenia uwolnienia i doniosłości poprawy znajdować się będą wewnętrzne katusze winowajcy. I w istocie pracować nad moralną poprawą więźnia, zbliżać dla niego w ten sposób chwilę uwolnienia, jest to pod pewnym względem wznagać moralne cierpienia człowieka który zbłądził i który właśnie w skutek postępów, jakie czyni w ukształceniu umysłowym i moralnym — coraz jaśniej pojmując doniosłość, swojego upadku, coraz silniej czuje wielkość swojej hańby i z coraz większą boleścią dźwiga w duszy gniotący go ciężar zgryzoty. Ukorzyć się trzeba przed tą głęboką, niezbadaną harmonią praw bytu naszego jestestwa, która przekonywa, że błąd każdy wielki czy mały, wykryty czy nie wykryty, ukarany czy nie ukarany przez społeczeństwo znajduje zawsze swoją karę moralną — i to taką właśnie ani większą ani mniejszą, na jaką zasłużył; — ukorzyć się trzeba przed nią i więcej jej zaufać a działania praw karnych do koniecznych sprowadzić granic.

Że poczucie takiej potrzeby tkwiło instynktownie w umyśle prawodawcy nawet dawniejszej epoki, dowodzi tego pozostawione wszędzie monarsze prawo łaski. W nowych czasach ogólnego popędu do reform posunięto się dalej. Od 1848 r. w Irlandyi a następnie w niektórych więzieniach amerykańskich przyjęto system warunkowego uwalniania sposobem próby, dobrze prowadzących się więźni po pewnym upływie czasu; pomimo praktycznych trudności dozoru rezultaty okazały się najlepszymi i zwróciły uwagę parlamentu angielskiego, który polecił specjalnej kommissyji zbadać tę kwestyę w 1856 roku. Kommissyja oświadczyła się za czasowem uwalnianiem i wyrzekła w swoim raporcie między innemi te słowa: „Doświadczenie stwierdziło, że nie można zniewalać zbrodniarzy do pracy samym przymusem, który ich tylko od pracy odstręcza i większą wywołuje zatwardziałość... Nadzieja pewnego skrócenia kary jest dla nich najdzielniejszym bodźcem pilności i dobrego sprawowania się.“<sup>1)</sup> A więc na tej drodze racjonalnej słusznej i pożytecznej, o jeden jeszcze krok dalej posunąć się trzeba. Prawo łaski i ograniczone umarzenie kary należy uogólnić i wcielić w stały system karny jako jego część integralną i przyjąć zasadę, że *poprawa winowajcy bezwarunkowo, z samego prawa umarza karę społeczną*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

— Otóż widzisz. A teraz, czy kto przyszedł?... Bulgarzy nawet obchodzą was zdaleka. Ja jednak przychodzę, chociaż wiem, że jeżeli by to doszło do wiadomości mudira, to on by wnet pomyślał: po co to Michałaki do starego Szumlańskiego chodzi?...

— Więc nie chodź — odparł stary.

— Nie chodziłbym, gdybym był jak inni Grecy... gdybym — z przyciskiem dodał — nie chciał tobie w przygodzie stanąć.

— Dziękuję tobie — powtórzył starzec wyraziściej, aniżeli poprzednio.

— Spodziewam się, że gdy o zięcia twego chodzi, nie odepchniesz ręki, która ci pomocną być może.

— Któżby odpychał.

— A wiesz jak się z zięciem twoim skończy?...

— Jeżeli mi powiesz, to będę wiedział.

— Wiesz za co go wzięli?...

— Nie wiem.

— I ja nie wiem i dla tego to właśnie, że zwier-

1) Aar, 727 i 955 K. Napoleona.

1) Aleksander Bibot. Le système penitentiaire en Angleterre. Revue des deux mondes z 1 Lutego 1873.



chność przyczynę w tajemnicy trzyma, może się skończyć bardzo źle.

Przy ostatnim wyrazie palcem na gardle uzupełnił myśl, której nie wypowiedział.

Staremu — mroź przeszedł po za skórą.

— Ja mogę się dowiedzieć.. mogę pomódz... zdołam nawet może i odwrócić nieszczęście. Bo widzisz, ja Grek i zwierchność turecka ma mnie za swego, to więc, co dla kogo innego byłoby nie podobieństwem, dla mnie... niepodobieństwem nie jest.

Jaśniały mu oczy dziwnym jakimś blaskiem, widział bowiem na twarzy staro Szumlańskiego, jak mu w duszy trwoga rosła, wznagała się, aż wybuchnęła w okrzyku:

— Ratuń więc!...

Starzec wzrok swój, wyrazu prośby pełen, utkwiał w oczach Kir-Michałakiego.

Kir-Michałaki rękę wyciągnął z gięstem uspokajającym.

— Ja siebie nie pożałuję — prawil — tego bądź pewien. Należy jednak postępować z rozwagą i zastanowieniem, ażeby sobie rąk nie związać. Trafie ja i do mudira i do paszy samego. Od mudira dowiem się; potrzebaż najprzód wiedzieć, a potem (tu głos podniósł i z ogniem mówił)... chociażbym miał Ruszczyk spalić i sam w płomień skoczyć, wydobędę Manułakię Stanka z rąk tureckich!...

Wyraz, z jakim stary Szumlański patrzył na niego, był wyrazem wdzięczności nieograniczonej.

Wieczorem dnia tego — a było to w dniu wywiezienia doktora — rodzina jak zwykle zgromadziła się razem, nie w komplecie jednak. Brakowało trzech osób: doktora, Stojana i Aleksandra — ten bowiem ostatni, z powodu oddalenia i drogi górzyściej, nie mógł w dniu jednym z Szumli powrócić. Znajdowały się więc aleksandrowych dzieci troje (jedno przy pierśi), kobiety i stary Szumlański. Pomiędzy obecnymi smutek panował, kobiety zajęte robotami ręcznymi, co chwila, to jedna, to druga, łzy obcierały, a jeżeli odezwała się która, to nie inaczej jak z biadaniem. Starzec milczał czas jakiś. Odezwał się wreszcie:

— Trzeba mieć w Bogu nadzieję i ufność. Bóg zysła niekiedy pomoc najmniej oczekiwaną.

— Była to — odrzekła stara. Toć w Bogu nadzieja jedyna.

Starzec chciał koniecznie udzielić kobietom wiadomości o zbawcy, który się niespodzianie nastęrczył. Po chwili przeto milczenia, zaczął:

— Są już i ludzie, co około tej sprawy chodzą.

— Są?... — zawołały jednym głosem kobiety wszystkie.

— Anibyście się domyśliły, kto mianowicie.

— Michałaki chyba — rzekła doktorowa.

— Skąd-że ty wiesz?...

— Od Manułakię. Michałaki ma powody swoje, o których ojeu powiadał zapewne.

— Powiadał mi, że nie jest Grekiem jak inni, że chociaż Grek, jednakże jest, człowiekiem.

Doktorowa mimowolnie uśmiechnęła się na takie, dość oryginalne, zdefiniowanie człowieczeństwa i powstrzymała się z dawaniem objaśnień bliższych. Zmiarkowawszy, że Kir-Michałaki zamilczał o zamiarach swoich, nie uważała za stosowne odkrywać ich i przez odkrycie to wprowadzać zamieszanie w serca boleścią przejęte. Przypuszczała zapewne, iż Grek, jeżeli zamiarów nie zaniechał, to urzeczywistnienie ich odłożył na później, do pory sposobniejszej, chcąc się pierwiej zasłużyć rodzinie. Ze zaś tu chodziło o jej małżonka, łatwo więc pojąć dla czego nie odkrywała pobudek, które przypuszczalnie, Kir-Michałakim kierowały. Rzekła więc tylko:

— Hm, to i dobrze.

Spuściła głowę, zwracając uwagę na przerwana na chwilę robotę i w milczeniu słuchała opowiadania ojca, zdającego sprawę szczegółową z rozmowy z Kir-Michałakim.

— Wyraźne zrzęczenie boże — rzekła stara Szumlańska. My o Kir-Michałakim tak źle trzymali, a oto on z pomocą nam przychodzi. Jak to o ludziach naprzód sądzić nie trzeba.

— Sądziło się o nim z jego spraw dotychczasowych — odparł stary. Stawał przeciwko nam zawsze i wszędzie.

— Ta w czym-że?...

— A chociażby i w sprawie szkoły.

Staruszcze szkoła taką w tym momencie bagatelką się wydała, że pogardliwie niemal ręką machnęła.

Doktorowa na matkę spojrzęła i nic nie rzekła.

Nazajutrz dzień upłynął trybem zwyczajnym. Doktorowa lekye odbywała, z gorliwością i przytomnością umysłu taką, jakby smutku w duszy ani odrobiny nie miała, kobiety krzątały się około domowego gospodarstwa, stary Szumlański sklepu pilnował, nad wieczorem powrócił Aleksander i wieczorem znów się rodzina zgromadziła i znów powtórzyła się rozmowa wczorajsza, dzięki Aleksandrowi, który nie wiedział o niczem. Stary Szumlański, w ciągu dnia nie widział się z Kir-Michałakim, co sobie tłumaczył, w ten sposób, że podjęte przez Greka zabiegi wymagają czasu nieco. Była to rzecz naturalna.

— A gdzie to w tej chwili nasz Manułaki? — odezwała się staruszka.

— W Ruszczyku — była odpowiedź jednogłośna, której towarzyszyło jednozgodne westchnienie.

Dla biednego doktora w tej właśnie chwili rozpoczynała się więzienna całonocna męczarnia.

W dniu następnym Kir-Michałaki znów się nie zgłosił.

Powściągliwość ta jego w bywaniu u staro Szumlańskiego budzi w nas podejrzenie pewne. Pochoodziła ona z obrachowania, opartego na znajomości serca ludzkiego. Obrachowanie podobne, w ludziach tego rodzaju stanowi spryt wrodzony. Grek wiedział, że bywając często, spowszedniałby i przytem nie zdołałby tak ukryć nitek swojej machinacyi, ażeby która nie pokazała się. Tak zaś utrzymywał rodzinę pod wpływem wrażenia pierwotnego i urabiał w niej natężenie oczekiwania, skierowanego całkowicie na jego osobę. Stawał się więc przez to pożądanym i droższym. W ciągu dnia zoczył go Aleksander głęboko zamysłonego. Stary zachodził do sklepu jego, ale go nie zastał i pytał o niego Jordakiego, ten jednak nie powiedzieć nie umiał.

W następnym dopiero dniu, Kir-Michałaki zjawił się. Stary pytaniem go zaczepić nie śmiał, widząc go zamysłonym i markotnym. Grek nałożył fajkę, wyrzesał ognia do czyru, zakurzył, zaciągnął się i z pierwszym wyrzuceniem z ust dymu, wyrzucił wyraz:

— Zle... —

Stary Szumlański westchnął głęboko.

— *Kalabalyk*. Licha całego narobił babo Mussa. Słyszałeś o tem, że on trzy razy do mudira chodził?

— Słyszałem... —

— Otóż wszystko poszło z jego chodzenia.

— Cóż przecie?...

— A cóż!... Coś on wie. Niedaremnie on do nikogo nie gada. Do tego, jakieś pieczęcie, jeszcze coś... a!... Trudna sprawa, trudna bardzo... —

— Pojedziesz jednak do Ruszczyku?...

— Pojechałbym natychmiast, gdyby nie to, że chcę wiedzieć o wszystkim dokładnie, ażeby, jeżeli by się przyszło przed paszą stanąć, mieć wszystko i w głowie i na języku... Trzeba będzie zapewne poręczenie dać.

— Trzeba może parczek?... — zapytał stary.

Greki odpowiedział gięstem oznaczającym twierdzenie przypuszczalne.

— Niech więc z tobą jedzie Aleksander,

— II... obejdzie się. Czy to u mnie pieniędzy nie ma?... Gdyby się potrzeba okazała, znalazłbym jeszcze w trzosie tysiąc jeden i drugi.

Gotowość ta rozrzewniła staro.

— Otóż widzisz, że mi ufać można. Ja, chociaż Grek, ale się od Bulgara nie odwracam. Ja nawet dziewczojkę bulgarską miłuję.

Wyznanie to wydało się staremu Szumlańskiemu jako nowy dowód tego, że Kir-Michałaki Bulgarom sprzyja. Gotów za Bulgara pieniądze własne założyć i miłuje dziewczojkę bulgarską. Jedno z drugiem sprzętło się w umyśle starca w dwojgę faktów jednoznacznych.

— Tak — ciągnął Grek — dziewczojkę bulgarską miłuję i to córkę twoją, Elenkę.

— Córkę moją... Elenkę — powtórzył starzec głosem, w którym drżał akcent dziwny, radośny niby.

— O tem jednak później będzie mowa — dodał Kir-Michałaki. Nie pora dziewczęścić, kiedy potrzeba myśleć o ratowaniu człowieka, od śmierci może.

— Ratuń go! ratuj!... — zawołał starzec.

— Bądź spokojny. Michałaki słów na wiatr nie rzuca. Gdy jednak uratuje?

— Wówczas pogadamy — podchwycił stary, któ-

remu nagle stanęły w myśli antecedenca Kir-Michałakię, przemawiające przeciwko niemu.

— Ej — odparł tenże, grożąc palcem i uśmiechając się. Ty wciąż we mnie widzisz Greka.

Stary chciał coś na to odpowiedzieć, lecz Kir-Michałaki do słowa go nie dopuścił.

— Nic to jednak. Zobaczysz... przekonasz się.

Wyznanie to powtórzone wieczorem w kółku rodzinnem, silne sprawiło wrażenie. Elenka zlekła się; kobiety inne krzyknęły głosem podziwu; doktorowa nie krzyknęła, tylko znacząco kiwnęła. Rozpraw w tej materji nie toczono żadnych, każdy atoli w eichości duszy swojej, przyznał kir-Michałakiemu umiarkowanie wielkie, z powodu, że nie stawał warunków z góry. Czyż bowiem nie mógł tak powiedzieć: Jeśli mi Elenkę dacie, wyzwolę doktora; jeżeli nie, to nie? W ten sposób byłby przyłożył nóż do gardła. Nie uczynił jednak tego.

— Nie jest to człowiek nieszlachetny — pomyślał sobie w duszy każdy, z wyjątkiem Elenki. Ta nie myślała wcale. Sformował się jej w głowie zamęt jakiś, którego rozwikłać w stanie nie była i dlatego zapewne, ażeby rozwikłać możliwem sobie uczynić, kiedy się rodzina na spoczynek rozesała, ona zamiast do izdebki swojej, udała się do doktorowej i zastała ją przy poprawianiu ćwiczeń dziecinnych.

— Przeszkadzam ci, Marico — odezwała się, podchodząc do siostry nogami bosymi.

Doktorowa drgnęła, nie słyszała bowiem wchodzącej.

— Przeszkadzam ci?...

— Nie pomagasz... ale...

— Odchodzę więc.

— Zostań, Elenko. Przejrę jeno kajetów parę i będę swobodna. Spodziewałam się ciebie.

Dziewczyna usiadła z boku. Doktorowa w kwadrans niespełna skończyła obowiązkowe zajęcia swoje i zwracając się do siostry, za rękę ją ujęła i do siebie pociągnęła. Elenka z płaczem w objęcia doktorowej się rzuciła. Ta ją po twarzy pogłaskała, w czoło pocałowała, łzy obtarła, obok siebie posadziła i tak do niej przemówiła:

— Bądź dobrej myśli. Mój ufność w Manułakim. Zdaje mi się, że odgaduję plan Michałakię. Nie nalegał na ojca, dla tego że się obawiał, ażeby Manułaki, dowiedziawszy się o wszystkim, nie zniweczył układów tyczących się losu twego. Znając Manułakię wpływ na ojca, chce on od niego przyrzeczenie wymódz. Bądź więc spokojną o siebie.

— A jeżeli Manułakię grozi śmierć?...

Doktorowa, na słowa te, zrobiła ruch taki ciałem całym, jakby się ugięła pod olbrzymim jakim ciężarem. Z twarzy krew jej na chwilę ustąpiła. Odrzekła jednak spokojnie:

— I w takim jednak razie, bądź dobrej myśli.

— Bo jeżeliby nie można inaczej — podchwyciło dziewczę — to jabyam wolała umrzeć sama, aniżeli dopuścić, ażeby Manułakię nie stało.

Doktorowa uścięła siostrę serdecznie i uspakajała, przedstawiając jej całe nieprawdopodobieństwo tego, ażeby rzeczy taki smutny obrót wzięść miały. Tłumaczyła i sama słowem własnym nie wierzyła. Sprawa była z Turkami, których sprawiedliwość w niej samej ufności nie wzbudzała najmniejszej. Jeżeli w co ufała, to w interwencję przyjaciela, o którym pewną była, iż nie zaniedba środka żadnego ratowania doktora. Wspomniała też o tem siostrze i ku niemałemu zdziwieniu, ujrzała Elenkę rozpromienioną nagle czemś, co miało zachwytu pozor.

— On?... zawołało dziewczę. On?... piękna dusza? No, to wierzę teraz już, że się Manułakię nic złego nie stanie. Byle on tylko prędzej mógł być w Ruszczyku niż Michałaki... Byle mu co nieprzeszkodziło...

Nie wiemy, czy w rzeczy w samej, takim jak się doktorowa domyślała, był plan Kir-Michałakię. Plan ten, jeżeli istniał, rozbił się z góry jak o tem już wiemy z rozdziałów poprzednich. Kir-Michałaki jednak pozostawał w absolutnej nieświadomości tego, co się zrobiło w Ruszczyku. Liczył snadź na turecką powolność. Nie śpieszył się przeto i nie prędzej jak po południu, nazajutrz po przytoczonej powyżej rozmowie pomiędzy siostrami, a zater w dniu czwartym po wywiezieniu doktora z Zarnicy, przyszedł do staro Szumlańskiego z pożegnaniem.

— Jadę — oznajmił na wstępie.

— Dziej jeszcze?...



— Niema czasu do stracenia. Żle się dzieje, pośpieszać potrzeba. Siodłają mi konia, ruszam na noc całą... jutro wieczorem w Ruszczuku stanę... Wpadłem do ciebie na chwilę tylko, ażeby ci powiedzieć że jadę i zapewnić cię, że nie pożałuję ani trudów, ani nawet kosztów.

— Cóż przecie?... cóż?... dowiedziałeś się o co chodzi?... — pytał starzec pośpiesznie.

— Eh!... — odparł Michałaki, ręką machnąwszy.

— Jednakże?...

— Niema na gadanie czasu. Bądź zdrow!...

— Szczęśliwej drogi!... — zawołał stary za odchodzącym.

Gdy Kir-Michałaki w drogę się puścił dobrze już było z południa. Gdy za miasto wyjechał, słońce chyliło się już ku zachodowi i cienie od gór i drzew pokrywały przestrzeń coraz to większe. Koń pod nim dobry, objuczony po podróznemu w pościel i bisagi, szedł z kroczną różnią, prychając głośno od czasu do czasu. Kir-Michałaki, z nożem i pistoletami za pasem, siedział zamysłony. Na czole, na oczach osiadł mu fraszunek. Oczami błądził po drodze, nie zatrzymując wzroku na niczem, niekiedy uśmiech na ustach mu się pojawiał, niekiedy pierś westchnieniem się wydymała. Niekiedy znów brwi marszczył i pięść do góry podnosił, jakby miał uderzyć kogo.

W dali ukazała się haraba jakaś, wzbijająca kurz na drodze. W harabie koń jeden gniady, drugi srokaty.

— Koń srokaty — mruknął Kir-Michałaki do siebie.

Czy to w skutek przecucia, czyli też z innej jakiej przyczyny, maść ta w zły wprawiła go humor.

— Nie lubię, nienawidzę koni srokatek!... — rzekł sam do siebie. Tepiłbym je. Gdybym był sultanem, wydałbym rozkaz, ażeby w państwie mojem, nie było ani jednego konia srokatego.

Haraba się zbliżała.

— Co za kurz!... Będę go miał prosto w oczy.

Kurz powiększył zły Kir-Michałakiego humor. Przyszła mu była myśl zjechać z drogi w prawo lub w lewo, ażeby uniknąć przykrości polykania pyłu kołami poruszanego, lecz myśl ta przyszła mu zapóźno. Nie miał czasu usunąć się w bok. Rozmiał się z harabą, a rozmijając się, okiem do środka rzucił.

— Czy to być może! — krzyknął.

Zwrócił konia na miejscu, zatrzymał się i wzrok w odjeżdżającą harabę wlepił.

— To być nie może!...

Zwrócił więc konia w stronę przeciwną i pojechał dalej, drogą do Ruszczuku.

Cóż go jednak na siodle podnosiło. Obracał się wciąż po zasobie i oczami harabę ściagał tak długo aż ta mu z oczów znikła; gdy zaś znikła, nie mógł jechać dalej. Koniowi ugli ściagnął. Koń stanął. To go we wściekłość wprawiło. Nawrócił znów na miejscu, szarpając konia ugłami z sił całych i krwawiąc mu pysk ostrem wędzidłem — ugli popuścił i koń pędem rzucił się naprzód. Za chwilę haraba znów się pokazała. Kir-Michałaki zwinął pęd, jechał czas jakiś w oddaleniu, które się co chwila zmniejszało. A oczy trzymał wlepione, jakby wzrokiem chciał przebić tuby i płótna okrywające podrózników, co do Zarnicy zmierzali.

Nie łatwiejszego być nie mogło, jak doścignąć ich i w oblicza im popatrzeć. Kir-Michałaki jednak nie chciał tego. Czemu? Odpowiedź na zapytanie to byłaby rozwiązaniem jednej z ciekawych wiele serca ludzkiego zagadek, zależącej na tem, że ludzie w razach pewnych, lubią ludzi się dobrowolnie.

Cóż podobnego i z Kir-Michałakiem w chwili tej zachodziło. W oczach mignęły mu twarze w głębi haraby ukryte. Poznał je. Były to twarze ludzi, którzy go żywo obchodzili. Poznanie jednak nastąpiło w przelotnym mignięciu. Mógł się więc omylić. Nic nie było łatwiejszego, jak sprawdzić. On wszakże wolał omyłkę nad sprawdzenie, dojeżdżał nie odważając się doścignąć i przekonać się.

A jakie uczucia w duszy mu wrzały, to się odzwierciadlało w oczach, które się mieniły odbłaskami gniewu, wściekłości, wzdargy, dumy, złośliwości zazdrości, zlewających się niby w burzę, którą się widzi nadchodzącą zdaleka.

Nagle burza rozwiała się. W oczach zajaśniało uradowanie. Haraba znikła na skrajcu, w punkcie w którym droga, przechodząc pod odskokiem skał, załamuje się pod kątem prostym i spada w dół. Haraba

znikła, Kir-Michałaki uśmiechnął się, wy dobył z pasa pistolet i kurek odwiódł. Czyniąc to konia nie zatrzymywał. Zatrzymał go dopiero na skrajcu, gdy haraba znów mu się pokazała; wziął na cel, wytrzymał chwilę, cyngiel nacisnął, wystrzał huknął. Po wystrale konia na miejscu zwrócił i puścił się czwałem drogą do Ruszczuku prowadzącą.

W dalszej podróży nie go już nie zatrzymało ani zawracało. Od punktu, w którym strzelił do haraby, odsadził się lotem na odległość taką, iżby go nie to doścignąć, ale zoczyć nikt nie zdołał, zwinął pęd, konia w stęp wprowadził, pistolet opatrzył; przedmuchał, wytarł i nabił i, wsunawszy go za pas, jechał dalej, taki spokojny, jakby przed chwilą burz najmniejszych w duszy nie zaznał. Nie pośpieszał jednak, jak to staremu Szumlańskiemu — przyrzekł. Wkrótce po słońca zachodzie, stanął na nocleg w pierwszej wsi, co przy drodze leżała i nazajutrz przed świtem prawda, w dalszą puścił się podróż. W dniu następnym nie dotarł do Ruszczuku. Nocował nieopodal i stanął u kresu podróży w chwili gdy muezzini po raz wtóry namaz obwoływali.

W Ruszczuku komu innemu nie łatwo było dowiedzieć się o obrocie sprawy, której teatrem był pałac wielkorządcy. Kir-Michałakiemu nie przyszło to z trudnością. Miał dobrych znajomych, pełniących w pałacu służbę taką, która prawowiernym nie przystoi, jak naprzykład, wycieranie i zapalanie lamp, czyszczenie kominów, wynoszenie popiołów, dragomanowanie zresztą; przez tych dowiedział się o wszystkim i w godzin parę niespełna po przybyciu, znajdował się już w audyencyonalnej komnacie Zia paszy.

Do komissarza nadzwyczajnego do spraw bułgarskich wpuszczonym został bardzo prędko, ten bowiem gdyby nie Kir-Michałaki, nie miałby w dniu tym komu posłuchania dawać.

— Ty z Zarnicy? — było zapytanie, za pomocą którego Zia pasza rozmowę zagał.

— Z Zarnicy, effendim!...

— Cóż tam słyhać?...

— Gdyby słyhać było dobrze, to ja, effendim, nie śmiałbym stawać przed obliczem twojem!...

— E?... zapytał Turek od niechcenia.

— Bułgarzy zmagają się po cichu... szu szu szu.

— I na cóż się oni zmagają?...

— To bo jest, że niewiadomo na co... i to najgorzej. Wiadomo tylko, od kogo zmagają się wychodzą i do kogo się ściągają.

— No?...

— Jest tam stary Szumlański, który zamłodu sam wodę mącił; ten jednak postarzał i przez czas jakiś był spokojny, aż przybył zięć jego.

— Doktor — wtrącił pasza.

— Tak jest, effendim. Z tym atoli byłoby jeszcze półbiedy, ale jest tam Stojan, który się uczył w Bukarescie, syn drugi starego... ten gorszym i niebezpieczniejszym jest jeszcze, aniżeli był stary za młodu... u u u!...

Mówiąc to, dłoń do ust z boku przyłożył i minę stosownie nastroił.

— Cóż?... on? ten Stojan?... dopytywał się pasza.

— Rozumny bardzo... i Bułgarzy zarniccy patrzy na niego, jak na proroka, jak na króla jakiego!...

— O!... Hm... Trzeba go więc mieć na oku. Wiemy już o Zarnicy; jest ona na uwadze; to dobrze jednak, żeś się do mnie zgłosił. Trzeba szczególnie za cudzoziemcami nagładać. Gdyby się co pokazało, przybawaj wprost do mnie i donoś o rzeczy najmniejszej, Zarnica bowiem jest zanotowana znakiem osobnym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

(Dokończenie).

Kraków w marca 1874.

Mnogość wielka odczytów publicznych tłumaczy nieco obszerniejsze uwagi o nich tu zamieszczone; zapowiedzianych mamy jeszcze więcej, a w ich liczbie nowość dotychczas niespotykaną: wieczór czysto deklamacyjny, w którym weźmie udział czterech de-

klamatorów. Jakkolwiek pomiędzy niemi są pp. Rychter i Bartels, to jednak wydaje się trudnem do pojęcia, aby sama deklamacja mogła wystarczyć do zapełnienia wieczoru. Deklamacja może ożywić, urozmaicić wieczór muzyczny lub literacki, ale sama jedna nie wystarczy. Deklamacje publiczne są niezawodnie bardzo szczęśliwym pomysłem i mianowicie należałoby więcej młodzieży szkolnej wysyłać na te wystąpienia; podnoszą one bowiem myśl w wyższe sfery za pomocą żywego, natchnionego słowa, a zarazem uczą dobrego czytania, wymawiania, rzeczy, które nie często spotkać można. Deklamacja zawsze była uważana za środek pedagogiczny, posiada też w sobie samej warunki sztuki. Pomimo to wszystko wieczór czysto deklamacyjny może stać się nużącym. Całą jego tarczą ratunku będzie p. Bartels, którego znamy z salonów. Pan Bartels przypomina średniowiecznych bardów, tylko że w zmieniomych czasach bard na nutę satyra nastraja swe pieśni i nie w uczuciach, ale w ulomnościach ludzkich szuka natchnienia. Odzywają więc dawne zwyczaje, a w miarę większej czci dla deklamacji może odnajdą się prawdziwi mistrze odnowionej sztuki. Będąc przed kilkoma laty na Szląsku, miałem sposobność słyszeć deklamatora ludowego czeskiego, który na większem zebraniu ludowem wygłaszał własne improwizacje czy też naprzód przygotowane okolicznościowe poezje. Tacy ludowi poeci są dziś bardzo w Czechach rozpowszechnieni, a sam mogłem zauważyć, jak wielki wzbudzą zapał i jak dalece rozwijają patriotyczne uczucia. Rusej pieśniarze na Ukrainie jeszcze niezbyt dawno zbierali obok siebie licznych słuchaczy; a deklamacja występując tu sama lub przy słabych dźwiękach muzyki, wywiera wpływ czarujący na proste dusze. Jest to więc istotnie potężna dźwignia ruchu umysłów i może jej będzie dane przywrócić w wyięblej publiczności dawną moc uczyć i zapału. Zanim jednak nadejdzie światła owa epoka dla pieśni i poetów, obaczmy, jakie będzie powodzenie wieczorku z samych deklamacji złożonego.

Sądząc po praktyce teatralnej, publiczność jest jeszcze zanadto przesiątką gustem do pełnych życia i zepsucia sztuk francuzkich. Już to trzeba przyznać autorom francuzkim nieporównaną zręczność w efektach, w trzymaniu widza w naprężonej uwadze, a to często li tylko przez wielką znajomość sceny i może jeszcze większą publiczności. Mielismy tego świeżo przykład na „Andrei“ Sardou. Sztuka ta zapełnia tu zawsze cały teatr, chociaż pod względem układu jest jednym wielkim błędem, rzec można, ciągnącym się przez cztery akty. Intryga cała polega na tem: czy mąż Andrei ucieknie czy nie ucieknie z baletniczką, czy porzuci młodą, piękną, kochającą i cnotliwą żonę dla baletniczki, która go wcale nie kocha i traktuje z góry, odpycha od siebie, pomimo że jej to pochlebia, iż bogaty hrabia składa jej swe hołdy. Wszystkie inne figury są tu niemal całkiem zbyteczne, ozywają tylko akcję za pomocą efektów, niekiedy przechodzących w formalną farsę. Główną wszakże podporą tego nowego utworu Sardou jest niesłychanie wyrafinowany i do ostatnich granic doprowadzony cynizm, pozorami moralności i małżeńskiego stanu okryty. Na tak zuchwałe pomysły nie odważył się jeszcze żaden autor dramatyczny; ale Sardou snadź rozumiał, że to sztuce zapewni powodzenie. Komuż zaś teraz idzie o rzetelne zalety!

Z nowości polskich pojawiła się u nas „Rognieda“ Olizarowskiego, ale tylko raz była dawana z powodu zasłabnięcia pani Hofmann, grającej tytułową rolę. O sztuce tej nagrodzonej na konkursie krakowskim pisałem przed roktem z wielkimi pochwałami; poznaawszy ją w rękopiśmie. Na przedstawieniu nie byłam, ale podobno nie zrobiło ono wrażenia; utrzymują, że dyalogi, które w czytaniu posiadają wielkie zalety wiersza i stylu, na scenie mają być za długie a sztuka ciągnie się bez życia i akcji. Wydaje mi się to zdanie trochę za surowem, tem więcej, iż dość poważne wyjątki wyrażają wprost przeciwną opinię.

Obecnie trzeba się mieć trochę na baczności z teatrem, albowiem od pewnego czasu dyrekcja teatru popadła w wielką niełaszkę u krytyków. W części niełaska ta jest zasłużoną. Musiała nastąpić reakcja od chwili, jak dyrekcja tutejsza zaczęła sobie palić kadzidła przesadne. Najlepsi artyści warszawscy, których wam może pozazdrościć każda stolica europejska, byli wystawiani ze śmiesznością, jako stojący niżej od artystów krakowskich. Nic dziwnego, iż kry-



tyka oburza się na tę małość małomieszczańską i karci takową. Jednakże zachodzi trochę zadaleko. Z drugiej strony zaprzeczyć nie można, że dyrekcyja czyni usiłowania do kształcenia artystów, że przedstawienia są zawsze staranne; a prawdopodobnie nasza mała scena nie będzie nigdy mogła ubiegać się o lepszych artystów, ponieważ fundusze jej szczerze nie starczą na wytrzymanie konkurencyi z teatrami mogącemi dawać wyższe wynagrodzenia. Jeszcze przed Lwowem nie potrzebujemy się rumienić, ale smutna rzecz gdy dyrekcyja zapomina, że dość dla niej zaszczytu być pepiniere dla teatru warszawskiego, lecz nie powinna nawet marzyć o wyrobieniu tu sił lepszych, i o pierwszeństwo w obec Warszawy. Tak jest co do artystów, nie co do sztuk polskich; nowości sceny warszawskiej nie bardzo nas tu zachwycają, a „Kawalera Marcowego“ bez żalu pozbyliśmy się podobno stanowczo ze sceny, jak takich indywiduów chętnie pozbyć się można i w życiu.

Pokazuje się wszelako, że im więcej zasobów do zabawy, tem chętniej publiczność z nich korzysta, pomimo bowiem, jak na nasze nie wielkie miasto, tyłu przedstawień rozmaitych, koncerta nawet w tym roku cieszą się powodzeniem; a co dziwniejsza, koncerta prywatnych artystów bywają liczniej nawiedzane, aniżeli urzędowo dawane na jakie cele dobroczynne. Doroczny koncert p. Bylickiego w tym roku na szpital dla dzieci, zapełnił salę ledwie do połowy, kiedy koncerta panów Smietańskiego oraz Remeneyego i Marka były tak natłoczone, że niemal zabrakło biletów. Pan Smietański jest Krakowianinem, obecnie bawiącym w Wiedniu, gdzie wyrobił sobie poważną pozycyę artystyczną i każdy prawie z odwiedzających wystawę wiedeńską, miał sposobność słyszeć grę jego w gmachu wystawy. U nas nie był lat ze trzy, a przypominam sobie, że w czasie ostatniej bytności grał prawie w pustej sali. Remeney jest skrzypkiem solistą cesarza austriackiego, Węgrem z rodu; chociaż już nie pierwszej młodości, nigdy tu nie pokazał się. Gra jego posiada wiele zalet, mianowicie lekkość smyczka i śliczne piano. Jest to gra bardzo śpiewna. Chopina mazurki wykonywa on w sposób taki, że zadziwia jak cudzoziemiec mógł zdobyć sobie zacięcie czysto chłopskie. Sposób ten grania mazurków Chopina może nie jest całkiem prawidłowy, ale szczególnie na skrzypcach ma swój urok. Marek jest artystą lwowskim, a w ogóle przybył ze sławą wykonawcy utworów Chopina. Odegrał on tu wcale porządnie część pierwszą koncertu *E mol*, ale bez orkiestry tylko na dwa fortepiany z p. Bylickim. Oprócz koncertu grał jeszcze balladę Chopina (*G. moll*); ale, ze zdziwieniem wyznać trzeba, sztuki Liszta wypadły daleko piękniej od utworów Chopina. Szczególniej cenią to w panu Marku delikatność uderzenia. Mamy jeszcze zapowiedziane dwa koncerty dobroczynne, Smietańskiego i drugi koncert Remeneyego i Marka.

## OSTATNI Z SIENIUTÓW.

### Wspomnienie.

(Dokończenie).

Zachodnie okolice Wołynia w one lata były wcale bujną niwą dla rozwoju reformacyi. Lachowce, Beresteczko, Kisielin to na Wołyniu przedniejsze gniazda nowatorów religijnych w pierwszej połowie XVII stulecia. Przedniejsi nasi reformatorowie jak Stoińscy, Wiszowaty, Ostafi Kisiel, (znany pod mianem Giseliusa), mężowie niecący światło wśród tłumów, przebywali w onych mieścinach, dziś ubożuchnych i ztamtąd rozszerzali ożywe promienie wiedzy. Obecnie wędrowiec nie łatwo oswoja się z myślą, iż mieściny te były niegdyś pochodniami nauki promieniejącymi daleko. Młodzież wielkopolska, żądna światła, gdy widziała dla siebie zamkniętymi podwoje rakowskiej uczelni, dążyła do Kisielina, gdzie ówczesny dziedziec onej miejscowości nie dość, iż dawał pod swym dachem przytułek rozbitkom rakowskiej szkoły, ale i sam wstępował na katedrę,

dzieląc nauczycielskie prace z Jerzym Wiszowatym. Później nieco, gdy powiały nad całym krajem wichry nietolerancyi, kiedy mury rakowskiej uczelni stały się pustkowiem, Ostafi Kisiel hojną dłonią czerpieł ze skarbowy praojców, by sprostać olbrzymim potrzebom nowej różnowierczej szkoły, co w Kisielinie wśród lasów wołyńskiego polesia, tworzyć miała port bezpieczny dla rakowskich exulantów.

Tak powszechny w onej epoce ruch umysłów dążących do rozszerzania światła wśród ciemnych tłumów porwał i uniósł Pawła Sieniutę. Wybitne postacie Leszczyńskich, co przeszczepiali na styrowem porzeczku naukę krzewioną w wielkopolskich ziemiach, Kisielów, roztańczających opiekuńcze skrzydła nad łaknącą wiedzy młodzieżą, wywarł przeważny wpływ na umyśle, znać nader wrażliwym, Pawła Krzysztofa Sieniuty i kierunek obrany nad trybrowem brzegi przetrwał wszelkie trudności. Wierne się on więc trzyma sztanbaru różnowierczego w ciągu następnych dni całego żywota, acz chwile ciężkie nie były rzadkimi i miecz żelazny zawisł nad głowami braci jego przekonań, co nosili jeno miecz z drzewa „gwoźni naśladowaniu mistrza z Goniądza“.

W kilkanaście lat po rzymskiej wędrowce wrzekomego pokutnika, widzimy go jak syt i lat i burz życia w ostatnich dniach 1628 roku czyni testament, w którym wygłasza swe aryjańskie *credo*, żegna braci swej gminy, prosi by go grzebano wedle obyczaju spółwyznawców, dając mu w martwą dłoń miedzianą tabliczkę z napisem „scio cui credidi“ i wreszcie umiera niepojednany z kościołem, we wrogich stosunkach z zakonnikami lachowieckimi, niezrzekającymi się sukcesyji po wiarołomnym kacerczu, jak go w onej epoce mieniono.

Ostatnie lata rządów Władysława IV rozpoczynają smutną dobę dla naszych akatolików. Całe gromady dobrych obywateli kraju, z których mnodzy przeszli swym wyższym umysłem społecznym, a olbrzymiami się stają w obec skarłowacających pokoleń późniejszej doby dziejowej, opuszczają na zawsze ziemię rodzinną, lub są zniewoleni wyrzec się bodaj pozornie swych przekonań religijno-społecznych. Zbory różnowiercze, szkoły, kształcące nie dość ludzi pracy książkowej, ale obdarzające kraj rzemieślnikami, ludźmi pracy fachowej, którzy mogliby kraj otrząść z błogiej drzemki, jaka nad nim zawisła, nieogładną dłonią burzone—wprost się rozspują.

Sieniutowie wyznaci z dóbr, znękani, nie chcąc opuścić ziemi rodzinnej, co w ciągu wielu stuleci była ich kolebką i grobem, wyrzekają się błędów Aryusza, ale zarazem ustępują z szerszej areny życia narodowego. Żaden z ich rodu, począwszy od wiedeńskiej potrzeby po dni nasze, gdy zgasł ostatni jego przedstawiciel, nie wypływa ponad fale szlacheckiej rzeszy, gdzie coraz to jakiś *homo norus* ukazuje się okryty dostojenstwem i nie zawsze godziwie nabytymi dostatkami i rej wodzi wśród ruchliwych tłumów, pędzących nawę krajową na skały i mielizny. Dość atoli dla czei ich pamięci, iż żaden tego imienia nie śpieszy do ościennych, obyczajem wielu, po łatwo zdobyć się mogące godności lub *synekury*. Ich herbowy biały proporzec cztery wieki powiewał nieskalanie i takim był w mogile.

Cichemi cnoty domowemi, przysłowiową sprawością słynęli oni w województwach, kędy dogorywały ostatnie latorośle prastarego szczepu. Archiwa domowe które powinnyby się znajdować w ręku wnuków po kądzieli ostatniego Sieniuty, zawierają bezwątpienia dość szczegółów o potomkach głośnego w dziejach Wołynia Pawła Krzysztofa, lecz pisząc niniejsze wspomnienie, nie mogę czerpać z onych źródeł, jeżeli one jeszcze istnieją.

Okolice nadstyrzańskie Bełzko-Wołyńskie, wrzekomie bezpieczniejsze od innych ziem, zbyt częstym podlegały inkursjom, zbyt często pożoga, — wzniecona dorywczym czambułem tatarzyńa przebiegała ciche wiejskie zagrody onych porzeczy, by mogły ocaleć pod szlachecką strzechą mnogie zabytki przeszłości. Są dowody, iż w pierwszych latach XVIII w. w zagony tatarskie chyże i groźne, niby powiewy afrykańskich wichrów, spadały na sioła północnych okolic Wołynia, dalekich od ziem kresowych, gdzie drzemały garstki żołdaków rzeczypospolitej niezdolne wstrzymać perekopskich gromad najezdniczych. Trzymano aż do ostatnich lat ubiegłego stulecia maluczkie załogi w głębi kraju; w zameczkach opalasadowanych, ku łączniejszemu odparciu inkursyji niespodzianej. Jednym z takich fortów, dziś zapomnianych,

co przetrwał do ostatnich lat rządów Stanisława Augusta, była wieś Rohozno, położona zdala od obecnych gościńców, na pograniczu Wołynia z Bełzkiem, między Dubnem a Styrem. Osiwiało tam dwudziestu czterech orężnych czatowników; będąc niejako drugą linią kresową; ale i owa czatownia, równie jak rycerze z nad Jahorlika i Wysi, z ukraińskich strażniczych mogił, nigdy nie zdołała wstrzymać fali najezdniczej. Dowiadywano się o pohańcu dopiero wówczas, kiedy purpurą pożogi sąsiedniego sioła zajaśniał widnokrąg, gdy obito się o ich ucho ginące w przestrzeni echo jęku uprowadzonych branców. Myślano o ratunku, ale jeno wtedy, gdy było zapóźno; kiedy powódka napaśnicza, obciążona łupy i jeńcy, odpływała spokojnie ku „dzikim polom“ gdzie już tylko stada chyba zgłodniałych wilków lub zamieć śnieżna mogły ich niepokoić.

Pod murami zameczku w Werbnie, na którego dziedzińcu hussarya pana podstolego żwinogrodzkiego rżęsiście ognia dawała podezas codziennych wiatów biesiadniczych, pod strzałami szmigownic, rdzewiejących w strzelnicach brodzkiego zameczku, pohańcu uprowadzał jeńców, świecił głównią pożogi u strzechy siół i grodków. Pewien szlachcic z pobeřeża bractawskiego, który wnet po przejściu Krymu pod panowanie Rossyi, kupejąc solą, zwiedzał tak groźną na krótki czas przedtem Taurydę, spotkał tam staruszkę brankę, z tegoż właśnie Werbnia, co był ostatnią siedzibą ostatniego Sieniuty. Branka wybornie jeszcze pamiętała swe nadstyrzańskie sioło, acz ją pognano do jassyru za dni wczesnej młodości i niekiedy marzyła o powrocie pod własne, lubo mniej słoneczne, jednak miłsze niebo, którego wszakże nigdy już ujrzeć nie miała. Była ona jedynym z tysiąca świadków owych czambułów w głąb rzeczypospolitej posuwanych w pierwszych latach, a nawet i około połowy XVIII wieku, o których pamięć gaśnie wśród dzisiejszych pokoleń i dzieje milczą.

Wśród tego rodzaju warunków bytu, nie dziwny się, iż przedstuletnia przeszłość tak mało przechowała nam zabytków stosunkowo prawie wczorajszej doby, a jednak tak różnej od dni obecnych, tak mało zbadanej i nieznannej poza szczerpym zakresem badaczy dziejowych.

Po zgonie Pawła Krzysztofa i po zapadnięciu wyroku trybunału małopolskiego, ferowanego w Lublinie, w roku 1644, co zamykał głośny proces lachowieckich Dominikanów z kacerskim protoplastą Sieniutów i wygnaniu z gościennych ścian lachowieckiego zameczku znanego Stoińskiego — którego tenże sam wyrok pozbawia czei i skazuje na banicyę—już Sieniutów noga nie postaje pod dachem praojców. Inni, nowi ludzie, zajmują ich gniazda, a dalszy żywot prastarego rodu upływa w ciszy. Następne pokolenia Sieniutów nie wychylają się z pod słomianych strzech swych wiejskich dworów. Ostatni z imienia—Leon Sieniuta Lachowiecki—spędził kilkadziesiąt lat żywota, otoczony ogólną czcią społeczną, mieszkając na Wołyniu, w dzisiejszym pow. Dubieńskim, w nadnieprzańskiej dziedzicznej swej wiosce Werbniu, położonej na prawym brzegu rzeki, między miasteczkami Beresteczkiem i Boremlem.

W latach gdy M. Baliński i Lipiński pisali o Sieniutach, jako o rodzinie „oddawna wygasłej“—Leon Sieniuta, ostatni z rodu, i lubo już starzec białowłosy niemniej wprawdzie był w pełni sił i rokował długie lata życia. Piękne rysy starca wybornie zachowały typ swego wielowiekowego szczepu. Jako świadectwo, iż w obliczu ostatniego z najstarszych rodów wołyńskich przechowały się nieskazitelnie rysy owych Sieniutów, co ongi przed mnogimi wieki, przewodniczyli swej ziemi w szeregach miłośników wiedzy i postępowych pojęć społecznych, przytaczam opowieść o zdarzeniu, w którym uczestniczył Leon Sieniuta Lachowiecki.

W dwudziestych latach naszego wieku, a może nieco wcześniej, będąc w podróży, odbywał on nocleg w miasteczku Kozinie, o cztery mile na północ od Krzemieńca i korzystając z pogodnego wieczoru poszedł na przechadzkę pod mury Dominikańskiego klasztoru, co dziś świeci ruiną, a przed półwiekiem był ocieniony pięknymi lipy, śladu których napróżno był teraz szukał. W cieniu lip wtedy właśnie siedział bardzo zgrzybiały starzec, zakonnik, co długi żywot mnszy strawił w murach lachowieckich Dominikanów. W latach młodych nasłuchiwał się stary dominikanin niemało o Pawle Sieniucie, owym hoj-



nym dobrodziejcu, potem zaś nieprzejednanym wrogu lachowieckiego klasztoru; napatrzył się na jego portret o rysach pięknych, wyrazistych, dzieło może którego z włoskich mistrzów, a umieszczone później w lachowieckim kościele przez Opalińskiego, ożenionego z Sieniucianką, który kończąc klasztor nie zabcał o pamięci pierwszego fundatora. W wyobraźni gasnącego zakonika, który już był jeno przeszłością, znać często przesuwająca się postać legendowa pokutnika po dwakroć apostaty; bo skoro ujrzał Leona Sieniutę porwał się ze swej kamiennej ławy, wołając: „precz kaczeru, precz apostato“!... Biedny starzec, pierwszy raz w życiu widząc żywą postać, najzupełniej mu przypominającą oblicze tylekroć widziane na lachowieckim konterfekcie, sądził, iż ma przed sobą Pawła Krzysztofa, który we dwieście lat po zgonie błaka się po niwach Wołynia, pokutując za swe odszczepieństwo. Koziańscy zakonicy przeprosili Leona Sieniutę za przykrą chwilę, sprawioną mu mimowolnie wizyą ich confratra, ale niemniej jak świadczy tradycja, każdy z nich, który tylko kiedykolwiek gościł w Lachowcach, przyznał nadzwyczaj wielkie podobieństwo ostatniego z rodu Sieniutów do dalekiego protoplasty przedniejszego z Aryan wołyńskich w XVII stuleciu.

Leon Sieniuta Lachowiecki, obarczony bardzo sędziwymi laty, żyć przestał w drugiej połowie bieżącego wieku, składając swe kości na mogiłniku tegoż Beresteczka, co patrzył przed wiekami na działalność pełną pożytku jego aryańskich praocjów i był sarkofagiem mnogich zastępów owych świątłych kaczerzy, którzy pracowali nad wcieleniem w czyn i życie ewangelicznego braterstwa ludzi.

Maryan Dubiecki.

## ZARYSY AZYI ŚRODKOWEJ.

(Przez N. Karazina).

W ostatnich dniach grudnia 1872 r. z moim sługą Kirgizem, wyjechałem z miasta Wiernego. Celem naszej wycieczki był auł Dżirgałły, a jeżeli czas pozwoli i inne jeszcze zimowe osiedliska górnych Kirgizów, leżące nad rzekami Tupa, Dżirgałła, Kaskyr-Daria i nad górskimi maleńkimi potokami, wpadającymi do jeziora Isyk-Kul, z południowo-wschodniej strony.

Droga, którą przebyć mieliśmy, nadzwyczajnie była ciężką i przechodziła przez miejscowości dzikie i zupełnie niezaludnione. Do najbliższego aułu było co najmniej trzy dni drogi, i to wtedy jeżeli codziennie ujedziemy od 40—50 wiorst. Wszystkie potrzebne w drodze zapasy należało wieźć ze sobą, a ponieważ jechaliśmy konno, przeto musieliśmy ograniczyć do minimum nasze wymagania.

Przedewszystkiem należało zaopatrzyć się w dzielne konie; pod tym względem kupiona para w zupełności zadosyć czyniła warunkom wymagany w górskiej męczącej drodze. Konie te były rasy syberyjskiej—kosmate, a niezaznały one nigdy ani ciepłej stajni, ani jakiegokolwiek derki, można więc było śmiało liczyć na nie, że nieulekną się żadnej burzy, lub zamieci, największych mrozów lub niewygód w drodze. Później w samej rzeczy konie te świetnie podtrzymały zasłużoną dobrą sławę swojej rasy.

Ubiór nasz składał się z ciepłych półkożuszków, doskonale podbitych barankami, z wysokich butów włożonych na ciepłe sukienne pończochy i futrzanych wysokich czapek; prócz tego przytroczyliśmy jeszcze do siodła, buty ciepłe niezbędne podczas noclegu i wielkie ciepłe kołdry, zrobione z grubej sierci wielbłądowej. Służący mój Kirgiz przytroczył

nadto w tyle swojego siodła duży worek z zapasami żywności, składającymi się z jednego puda (40 fun.) świeżego mięsa, pokrajanego na sztuki, ze świeżego masła, kilku funtów cukru, niewielkiej ilości herbaty i kilku bochenków chleba. Butelkę spirytusu i dwie butelki araku starannie zaszyte w duży worek, wziętem do siebie na własne siodło, nie mogąc się zdecydować na powierzenie służącemu tak cennej rzeczy w drodze uciążliwej i mroźnej. W samej rzeczy charakter mojego towarzysza, a zarazem służącego był taki, że on najspokojniej przeszedłby w obec kupi rozrzuconego złota, nie dotknawszy nawet ani jednej sztuki, lecz za to nieomieszkałby skorzystać ze sposobności wychylenia stojącej bez opieki i odkorkowanej butelki.

Mojego towarzysza Kirgiza na dwa tygodnie poprzednio nająłem już do drogi. Miał dopiero 17 lat, był silnym, doskonale zbudowanym, chociaż trochę krępy. Czarne i żywe jego oczy biegały ciągle, a gdy otworzył usta widzieć można było białe, ostre świecące zęby, którei bez trudności zapewne mógłby żuć otów. Widocznie był dumnym z tego, że pełni u mnie służbę, a jeszcze bardziej z przyczyny, że będzie wkrótce moim przewodnikiem w drodze, i z nieudanyim zachwytem przymierzał ciągle kupiony dla niego na pół rossyjski i na pół kirgizki ubiór. Pomimo tego, że był jeszcze bardzo młodym, przeszłość jego nie była bez zarzutu; jak później dowiedziałem się, chłopiec ten od dwunastego roku swojego życia włóczył się z bandami rabusiów w górach, i dopiero od roku porzucił to niezaszczytne bynajmniej rzemiosło. Co skłoniło go do porzucenia awanturczego żywota, jest mi niewiadomem; zdaje się, że były tego przyczyną jakieś kłótnie z towarzyszami. Służący mój nigdy o tem nie mówił i starannie unikał wszystkich wspomnień swojej przeszłości, dzięki której doskonale znał wszystkie okolice, wszystkie skróty i zwroty górskich ścieżek, i pod tym względem nikt go godniejby nie był w stanie zastąpić. Nazywał się Bajtak, mówił po rossyjsku, ale bardzo źle, potrzeba było jednak i tem się zadowolnić, gdyż między Kirgizami rzadko który mówi lepiej.

Obaj mieliśmy przewieszzone przez plecy dubeltówki, prócz tego para niewielkich kieszonkowych rewolwerów, topór i długie noże myśliwskie wisiły u siodła, w skórzanych futerałach.

Był jasny, zimny ranek. Na drodze wiodącej do kozackiej stajni Sofino, spotykaliśmy mnóstwo idącego naprzeciw nas jeźdźnego i pieszego ludu; lecz wkrótce skręciliśmy w prawo i pojechaliśmy ścieżką usłaną śniegiem. Bajtak wiódł mnie najprostszą drogą. Przed nami jasno połyskiwały białem światłem, pokryte śniegiem rozgałęzienia gór Almatyńskich, a właśnie ku nim skierowaliśmy się, trzymając się lewego brzegu biegnącego naprzeciw nas potoku. W górach tych znajduje się dużo ciepłych, a nawet gorących źródeł, które nie pozwalają niektórym górskim rzekom na zamrażanie, wlewając do nich swoje wody. Często nawet w pośród największych mrozów nie stają te potoki, i sinawa lekka para unosząc się nad wodą, zdaleka okazuje ich bieg malowniczy.

Wkrótce zbliżyliśmy się do stoków gór. Dobrze nakarmione rumaki z łatwością i szybko przebiegły około 20 wiorst. Wybraliśmy niewielkie wolne od śniegu miejsce, i rozłożyliśmy się obozem. Bajtak powiedział mi, że w odległości 25 wiorst od tej miejscowości, żyją w górach sybirszy Kozacy, drwale; do ich to siedzib chciałem mój przewodnik dostać się jeszcze za dnia i tam odnaleźć nocleg. Nie długo odpoczywaliśmy, to jest zaledwie tyle czasu ile go potrzeba na zgotowanie i wypicie kilku filiżanek herbaty i ruszyliśmy w dalszą drogę bez straty czasu.

Droga z początku szła wązkim wąwozem, ciągle podnosząc się w górę; szare, krępych kształtów skały, znajdowały się po obu stronach drogi, zwiężając i tak już maleńką i prawie niedostrzegalną ścieżyn-

kę. Prawie co chwila musieliśmy przebywać w bród potok, który wiał się w głębi wąwozu, przebiegając z szumem po spoczywających w jego łożysku małych, ostrych kamieniach. Tutaj prawie nie było wcale śniegu, zaledwie błyszczał gdzieś niedździe ukryty w rozpadlinach skalnych, a na nim widniały ślady nóżek pospolitych kuropatw, których tutaj znajduje się wielka liczba i co chwila słychać było ich klekot. Kirgizy bardzo lubią ich głosy, a schwytane małe osuwają i trzymają wspólnie z innym domowym ptastwem. Kuropatwy te nie są większe od średniej wielkości kur, mają opierzenie popielate bardzo piękne, z czarnymi podłużnymi paskami na łebkach i jasno czerwone barwy laku, dziób i nóżki. Są bardzo tłuste, szczególnie w późnej jesieni, smaczne i mogą śmiało stanowić ozdobę epikurejskiej uczy.

Niegościnnie i dziko wyglądał wąwóz; szarawo-zielony mech, niby stara pleśń, pokrywał ponure kamienie. Z rzadka widniały zeszłoroczne nagie krzaki. Nagle droga stała się szerszą, rozdzieliły się obszerne ściany wąwozu, w dali ukazały się pokryte tumanem sinawe masy, były to olbrzymie świerkowe lasy, gęsto pokrywające wierzchołki gór Almatyńskich. Konie zmęczone chociaż nie kręta, lecz ciągle w górę wznoszącą się drogą szły wolniej, a cugle pokryły się pianą na spoconych ich szyjach.

Wkrótce dosyć wyraźnie przedstawiły się oczom naszym oddzielne ciemno-zielone grupy świerków; czerwone pnie drzew tu i ówdzie wychyliły się z po za zieleni. Szare obłoki, niby tuman kurzu cicho suwały się po wierzchołkach gór, i cudny czarodziejski widok przedstawiały w tej chwili zastępy unoszących się pod niebiosa szczytów górzystych. Głuchym szumiały te dziewicze, olbrzymie, odwieczne lasy. Ha! W dali zdawało się brzęknąć topór. Oto raz jeszcze dźwięk jego słyszeć się daje. Teraz już wyraźnie dochodzą uszów naszych znajome wszystkim jego uderzenia. Nagle ustał, znów się rozlega, a odpowiada mu przyjemnie i dźwięcznie echo górskie. I tutaj więc w taką głąsę i step dobrales się ty człowiecze, wieczny, nieustający nigdy pracownik; w owe dalekie, obłoków sięgające lasy, przypędziła ciebie albo chciwość zysku, lub konieczna potrzeba.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Prospekt Spółki wydawniczej księgarzy na wyjście mające w r. b. sześć dzieł z Biblioteki międzynarodowej naukowej, wychodzącej za granicą. Księgarnia Michała Glücksberga (Wydawcy Bluszczu) dostarcza te dzieła podług warunków w prospekcie podanych.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się *Sprawozdanie o maszynach do szycia.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch*, oraz *Kamiennej Woli*.

TREŚĆ: Antygoną Sofoklesa, (studjum), przez El-y. — Kobieta i wymiar kary w społeczeństwie, Prelekcyja, (dalszy ciąg), przez Edwarda Prądzińskiego. — Zarnica, (dalszy ciąg), powieść bułgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — Korespondencya krakowska, (dokończenie). — Ostatni z Sieniutów, (dokończenie). — Zarysy Azji środkowej, przez N. Karazina.